NOWOŚCI ILLUSTROWANE

Prenumerata wynosi w Galicyi i Austryi: Kwartalnie 5 kor. Półrocznie 10 kor. Rocznie 20 kor. — Do Niemiec: Kwartalnie 5 kor. 65 hal. Półrocznie 11 kor. 30 hal. Rocznie 22 kor. 60 hal., z przesyłką pocztową. — W Ameryce: Kwartalnie 6 kor. 30 hal. Półrocznie 12 kor. 60 hal. Rocznie 25 kor. 20 hal., z przesyłką poczt.

Zmiana adresu kosztuje 40 hal.

Ceny ogłoszeń: za wiersz jednoszpaltowy petitowy 20 hal. — na ostatniej stronie lub w miejscu specyalnie zastrzeżonem 28 halerzy.

Wychodzi każdej soboty.

REDAKCYA i ADMINISTRACYA: KRAKÓW XV. ulica Kazimierza Wielkiego L. 95 (dom własny).

Telefon Nr. 479.

Naczelny redaktor: Sylweryusz Chmurkowski.

Wyłączne zastępstwo na Lwów: KAROL BUCHSTAB, Biuro dzienników — Lwów, ul. Karola Ludwika 21.

Główny skład na Księstwo Poznańskie: M. Niemierkiewicz Poznań, plac Wilhelmowski 3.

Numer pojedynczy 40 halerzy — 20 kop. — 40 fen.

Rok XIV. Kraków, 30. czerwca 1917. Nr. 26.

Z frontów bojowych.



Atak wojsk austryackich na pozycye włoskie nad Isonzo.

Od Wydawnictwa.

Wobec niesłychanej **drożyzny wszystkich materyałów** niezbędnych do wydawnictwa, jak papier, chemikalia i t. p., których **ceny wzrastają** niemal **z dniem każdym i podskoczyły do 500 proc.**, utrzymanie dawnej ceny pisma okazało się niemożliwe. Aby choć w części pokryć koszta wydawnictwa, co jest koniecznym warunkiem jego rozwoju, zmuszeni jesteśmy

z dniem 1 lipca b. r. podnieść prenumeratę

która odtąd wynosić będzie:

kwartalnie 6 K 25 h, półrocznie 12 K 50 h, rocznie 25 K, a cena pojedynczego numeru 50 h.

Zawiadamiając o tem naszych P. T. Prenumeratorów i Agencye, mamy niepłonną nadzieję, że najszersze koła naszych Czytelników zrozumieją konieczność tej podwyżki, **tak nieznacznej w stosunku do ogólnej drożyzny.** A dodać tu musimy, że nie tylko drożyzna, ale wogóle **brak zarówno materyałów do wyrobu klisz, jak i powołanych pod broń wykwalifikowanych pracowników,** stwarza trudności, których pokonanie pociąga za sobą wprost **niebywałe koszta.** Nie cofnęliśmy się jednak przed nimi i pomimo ciężkich warunków wojennych, zdołaliśmy obecnie usunąć pewne niedomagania techniczne, które dotychczas wpływały ujemnie na wykonanie fotografii. Jak trudnem i kosztownem było to **podniesienie wartości illustracyjnej pisma** w obecnych warunkach, każdy chyba zrozumie.

⊙ ⊙

Tych P. T. Prenumeratorów, którzy na III. kwartał nadesłali prenumeratę według dawnej ceny, prosimy **o wyrównanie różnicy.**

Z frontów bojowych.

Na obu zachodnich terenach walki, we Francyi i nad Soczą, ofenzywa koalicyjna zaczyna zanikać, jak nieraz dzieje się z rzekami, które zanikają w piaszczystym terenie. Po kontrataku ze strony austryackiej na okopy przy Jamiano, który skończył się odebraniem utraconych stanowisk, Włosi wyczerpani popróbowali dywersyi na froncie południowo-tyrolskim z nie lepszym niż nad Soczą skutkiem. Wszystkie ich ataki nie osiągnęły zamierzonego celu t. j. przełamania frontu wojsk austro-węgierskich, które często w ciągu tych zaciętych walk przechodziły do kontrofenzywy i wypierały nieprzyjaciela z zajętych chwilowo pozycyi. Taki kontratak wojsk austro-węgierskich na włoskim froncie przedstawia fotografia, zamieszczona na tytułowej stronie. We Flandryi również w zmiennych walkach przelewają się kolejno jedna to druga strona, po tychsamych rowach w atakach i kontratakach. Prasa angielska na walkach tych położyła już krzyżyk.

„Manchester Guardian"" n. p., który ofenzywę we Flandryi podjętą traktuje jako walki o twierdzę Lille, wyraża się sceptycznie o możliwościach wykonania tego zamiaru, czy to od północy, od strony Messines, czy też od południa od strony Lens i Douai. Co więcej, dziennik angielski wogóle nie wierzy obecnie w możliwość przeprowadzenia jakichkolwiek strategicznych celów, na większą zakrojonych skalę. Dla niego istnieje tu całkowita równoległość pomiędzy dyplomatyczną i wojskową akcyą. Jak w polityce zrezygnowano już z szerszych jakichś planów, podobnie stanie się obecnie z działalnością wojskową.

To też jeden z najpoważniejszych organów angielsksich, który zwątpiwszy o możliwości przeprowadzenia wobec takiego stanu rzeczy jakiejś skutecznej ofenzywy jesiennej, radzi kierownictwu wojsk gotować się raczej do wiosennej kampanii.



Legiony — dzieciom polskim: Szermierka ułanów drugiego pułku na festynie „Ratujcie dzieci" w Warszawie (Fot. A. Dulęba. Warszawa)

Legiony — dzieciom polskim.

Punktem kulminacyjnym kwesty, zorganizowanej w Warszawie pod hasłem „Ratujcie dzieci", była zabawa, urządzona w parku Agrykola przez Legionistów. O zabawie tej, z której zamieszczamy w dzisiejszym numerze szereg fotografii, illustrujących poszczególne



Wybuch w fabryce amunicyi: Wnętrze jednej z hal maszynowych w zakładach Skody w Belowcu pod Pilznem.

jej momenty, prasa warszawska wyraża się z entuzyazmem, a jeden z dzienników tak pisze:

„Niezliczone tłumy, które opuszczały o zmierzchu park Agrykoli, wychodziły stamtąd nie tylko zachwycone i przejęte poszczególnymi momentami zabawy, ale i jednocześnie zadowolone, że im dotrzymano słowa. Legioniści obdarzyli publiczność warszawską hojnie, a nawet nie szczędzili niespodziewanych naddatków. To też Legiony zdobyły sobie wstępnym bojem zaufanie publiczności warszawskiej.

Zabawa legionowa była czemś, czego Warszawa od lat wielu nie widziała. Przemówiła do niej niezwykła barwność obrazów, przejawiała się na każdym kroku fantazya żołnierska i ów słynny już „humor relutoński“. Życie kipiało wszędzie, gdzie tylko spojrzałeś. Na zabawie zjawiły się nieprzeliczone tłumy, około 25 000. Dla finansowego powodzenia kwesty „Ratujcie dzieci“ zabawa legionowa będzie miała decydujące znaczenie.“



Legiony — dzieciom polskim: Publiczność przypatrująca się popisom Legionistów na festynie „Ratujcie dzieci“ w Warszawie (Fot. A. Dulęba, Warszawa)

Kolejowe pogotowie ratunkowe w Krakowie.

Szerszej publiczności mało są znane urządzenia pogotowia ratunkowego na kolejach, zamieszczamy więc fotografię, która przedstawia korpus sanitarny kolei północnej na dworcu w Krakowie, podczas ćwiczeń z wozem ratunkowym. Cały korpus składa się z jednego lekarza, jednego przewodniczącego korpusu, jednego zastępcy, czterech sanitaryuszy i dwudziestu sił pomocniczych.

W razie jakiego wypadku na kolei, wzywa się telegraficznie najbliższy korpus ratunkowy, który najdalej w trzydziestu minutach rusza w drogę.

Takich korpusów sanitarnych na kolei północnej jest siedm, a to w Krakowie, Bielsku, Morawskiej Ostrawie, Przerowie, Brzecławie, Floridsdorfie i Wiedniu. Szefem wszystkich korpusów ratunkowych jest starszy radca sanitarny dr. Horn, który na tem polu położył wielkie zasługi. Lekarzem korpusu krakowskiego jest dr. Hirsch, przewodniczącym rewident Żukrowski, zastępcą sekretarz Chroboczek.



Kolejowe pogotowie ratunkowe w Krakowie: Korpus sanitarny kolei północnej przy wozie ratunkowym na dworcu krakowskim



Kolejowe pogotowie ratunkowe w Krakowie: Kierownicy korpusu ratunkowego kolei północnej na dworcu krakowskim, dr. Hirsch, insp. H. Hebebrand, Knopfmacher i rew. Żukrowski.



Legiony — dzieciom polskim: Zespół chórów legionowych na festynie „Ratujcie dzieci“ w Warszawie

Nowy gabinet węgierski.

Zupełnie niespodziewanie wybuchło na Węgrzech ostre przesilenie gabinetowe, które skończyło się ostatecznie dymisyą wszechwładnego — jak się zdawało — hr. Tiszy. Miejsce dawnego rządu zajął nowy gabinet, który jest wyraźnie gabinetem mniejszości. Możnaby tu pociągnąć pewną analogię do sytuacyi z przed lat siedmiu, kiedy to, mimo zdecydowanej większości w parlamencie, rząd koalicyjny musiał ustąpić, wskutek różnic między zapatrywa-



Legiony — dzieciom polskim: Corso kolarzy na festynie „Ratujcie dzieci" w Warszawie. (Fot. A. Dulęba, Warszawa).

niami jego i Korony. Podobnie jak dziś, król powierzył wówczas rządy reprezentacyi mniejszości, a nowy gabinet, przedstawiając się parlamentowi, zapowiedział był wniesienie reformy ordynacyi wyborczej, tak, jak to ma uczynić obecny gabinet Esterhazy'ego.

Choć Tisza był zmuszony do ustąpienia, zwolennicy jego polityki, opierającej się na ucisku narodowości niemadziarskich, nie myślą bynajmniej kapitulować i zapowiadają, że w sprawie powszechnego głosowania, które ma stanowić pierwszy punkt programu nowego rządu, zostaną na dotychczasowem stanowisku, czyli doprowadzą do konfliktu większości parlamentarnej z rządem.

Nowy gabinet węgierski powitać należy z polskiego stanowiska jak najżyczliwiej. Pomijając już fakt, że moralnym jego twórcą i bez kwestyi naj-



Nowy gabinet węgierski: Prezydent gabinetu węgierskiego, hr. Esterhazy (na lewo) opuszcza po zaprzysiężeniu w towarzystwie ks. Lobkowitza pałac królewski.

poważniejszym doradcą jest hr. Juliusz Andrassy, podnieść trzeba, że w skład jego wchodzi szereg polityków węgierskich, którzy w ciągu wojny zaznaczyli się najkorzystniej w sprawie polskiej i okazali głębsze zrozumienie sytuacyi i i pragnień naszego narodu. Niejednokrotnie z ust polityków, zasiadających dziś na ławie ministeryalnej, słyszeliśmy słowa jak najgorętszego poparcia dążenia narodu polskiego do niepodległości, i zapewnienia, że, w miarę możności, będą się starali dopomódz do ich realizacyi. Nie wątpimy, że, ująwszy dziś władzę, pójdą tą samą drogą. Prócz prezydenta ministrów, hr. Esterhazyego, na wybitnie życzliwem dla Polaków stanowisku stoją trzej inni członkowie stronnictwa hr. Andrassyego, mianowicie nowy minister spraw wewnętrznych, Gabryel Ugron, ks. Windischgrätz, sekretarz stanu w ministerstwie a latere i mrgr. Pallavicini, sekretarz stanu prezydyum ministrów. Gabryel Ugron, syn Gabryela Ugrona, znanego z czasów komuny paryskiej, jest człowiekiem młodym: liczy lat 37. W ubiegłym roku wygłosił w sprawie polskiej dłuższe przemówienie w Izbie poselskiej, w którem wystąpił jako zwolennik tryalizmu i poddał ostrej krytyce ówczesne stosunki na terenie okupacyjnym. Ks. Windischgrätz jest serdecznym przyjacielem Polaków, umie po polsku i jeszcze przed kilku miesiącami wraz z posłem Ugronem, wypowiedział się za połączeniem Galicyi z Królestwem w niepodległem państwie polskiem, związanem z Austro-Węgrami. Znanem jest również stanowisko przedstawicieli obu frakcyi partyi niezawisłości w gabinecie, mianowicie: ministra oświaty hr. Apponyiego i ministra a latere hr. Batthyaniego.

Hr. Apponyi, jedna z najwybitniejszych postaci wśród parlamentarzystów węgierskich, najlepszy niewątpliwie mowca w obecnej Izbie, zabierał szereg razy głos w sprawie polskiej, dając wyraz podziwu dla Legionów, wskazując na doniosłość sprawy polskiej i podkreślając konieczność takiego rozwiązania jej, któreby zaspokoiło ambicye narodowe Polaków. Hr. Batthyany jest, rzec można, fanatykiem sprawy polskiej. Nie potrzeba dodawać, że i minister dla Chorwacyi, przywódca stronnictwa katolickiego, hr. Aladar Zichy, zgodny jest w swych zapatrywaniach na sprawę polską ze swymi kolegami w gabinecie.

Krótki ten przegląd dowodzi chyba najlepiej, że nowy gabinet węgierski — w przeciwieństwie do rządu hr. Tiszy — będzie gorącym orędownikiem życzeń i dążeń Polaków i że w chwilach decydujących możemy ze strony Węgier liczyć na wydatne poparcie.



Legiony – dzieciom polskim Chór dzieci na festynie „Ratujcie dzieci" w Warszawie (Fot. A Duleba Warszawa).



Z frontów bojowych: Austryacka grupa atakowa nad Isonzo przekracza jezioro.

Adam Wiaryga-Minieski.

MAŁŻEŃSTWO WOJENNE.

Powieść z dni ostatnich.

4

— A ciocia nie będzie jadła jajek?

— Ja nie mogę jeść dużo na kolacyę. Szkodzi mi to. Ale ty jedz!... Nie mam wcale ochoty, żebyś się rozchorowała i kłopotu mi narobiła...

Józia chętnie, ze zdrowym, młodzieńczym apetytem zabrała się do jedzenia, bo, pomimo zmartwień, jeść jej się chciało.

Panna Antonina smarowała swoją kromkę chleba cieniutko masłem, nałożyła na nią plasterek sera i, wbrew zwyczajowi swemu, długą chwilę milczała. Może nie chciała przeszkadzać siostrzenicy w jedzeniu.

Dopiero, kiedy z jajek zostały tylko skorupki, ciotka odezwała się:

— Ze też ty nie boisz się sama chodzić wieczorem... Jeszcze cię kto zaczepić może...

— E! Któżby mnie tutaj zaczepił... A choćby nawet, tobym sobie poradziła... Zresztą nie szłam sama...

— A z kim?

— Spotkałam przypadkowo Adasia Zmorskiego i on mnie odprowadził...

Stara panna klasnęła nagle głośno w swoje chude dłonie.

— Maciel!... Jest... I nie mają ludzie mówić źle o tobie... Przypadkowo!... Znam ja te przypadki...

— No i znowu mnie ciocia posądza, że ja się z takim dzieciakiem umawiam... Ani mi się nawet śniło...

— Jeszczeby tego brakowało, żebyś się umawiała... Czy nie dosyć, że on wyrasta, jak z pod ziemi, wszędzie, gdzie się ty znajdujesz?... Włóczy się godzinami pod naszemi oknami, albo wygrywa swoje serenady na skrzypcach...

Po ustach Józi przewinął się filuterny uśmieszek.

— Ach! Jak on ślicznie gra.. Doprawdy trudno, patrząc na niego, uwierzyć, że ten słaby, młodziutki chłopiec może grać z taką siłą i takiem przejmującem uczuciem... To artysta poprostu!...

— E! Brzękolenie... — odpowiedziała lekceważąco panna Antonina, która na ogół nie miała wielkiego zrozumienia dla sztuki, a muzyki specyalnie znosić nie mogła — Mnie głowa nieraz boli, jak słucham tego skrzypienia... Nie pojmuję, jak jego matka wytrzymać to może...

— Ależ, ciociu...

— A poza tem graniem kompletny osioł i próżniak z niego... Teraz szóstą klasę repetuje... I cherlak... Ciągle choruje... Mnie się zdaje, że on suchoty ma... Więc to on cię odprowadził? Hm...

Panna Antonina, jakby nagłem przeczuciem tknięta, zerwała się z krzesła i pobiegła ku oknu z takim pospiechem, że przewróciła po drodze jakiś taboret.

Odsunęła trochę firanki, uniosła storę i wyjrzała na ulicę. Chwilę spoglądała uważnie, jakby upatrując kogoś, czy czegoś.

— Naturalnie! — krzyknęła — przeczułam!... Jest... Włóczy się tu już pewnie niewiedzieć jak długo!... Masz twojego smarkatego wielbiciela!... Nie! Doprawdy, co ja z tą dziewczyną cierpię, to ludzkie pojęcie przechodzi!...

Józia jednym skokiem znalazła się koło ciotki.

— Co?!... On tam chodzi?... A to szalony chłopak!... Na takie zimno!... Wiatr!... Śnieg!...

Spojrzała. Ponieważ mieszkanie panny Korzewskiej było parterowe, więc można było dokładnie widzieć wysmukłą, ciemną, postać męską, która snuła się koło domu tam i z powrotem.

Z chwilą, kiedy Józia znalazła się przy oknie, postać zatrzymała się.

— Oczywiście! Stoi i gapi się w ciebie, jak sroka w kość... A już i tak jego matka dobrze o tobie się wyraża... Niech tylko synalek z twojej przyczyny przeziębi się i zachoruje, to ci jeszcze lepiej podziękuje!

— Ciocia ma słuszność!... On się może przeziębić... Musi natychmiast iść do domu!... Ja mu powiem!...

Zanim ciotka zdążyła się zoryentować, co się dzieje, już Józia porwała jej szal, narzuciła go na ramiona i, nie okrywając niczem głowy, jak wicher wypadła z mieszkania.

Panna Antonina, która tak gwałtownej reakcyi ani oczekiwała, ani pragnęła — załamała ręce.

— Józka!... — wrzasnęła — Waryatko!... Co robisz!... Przeziębisz się!... Sąsiedzi!...

Ale Józia nie słyszała tego, bo już była na ulicy.

Wysoki, szczupły, bardzo młody, siedmnastoletni może chłopiec, w gimnazyalnym płaszczu, stał wsparty o jedyną na tej ulicy latarnię i spoglądał w oświetlone okno mieszkania panny Antoniny.

Wiatr dął silnie i wilgotne płatki śniegu wirowały w powietrzu.

Chłopiec zakaszlał nagle.

— Panie Adamie! — ozwał się głos Józi.

Młodzieniec drgnął i szybko zerwał kapelusz z jasnych, gęstych, z jakąś „artystyczną" niedbałością zaczesanych włosów.

Ściągłą, bladą, mizerną twarz o subtelnie wykrojonych ustach, nad któremi nie widniał jeszcze puch męskiego zarostu i o marzycielskich szarych oczach — rozjaśnił wyraz nagłego uszczęśliwienia.

— Panie Adasiu! Co pan tutaj robi!... Co to znaczy?... — irytowała się Józia, otulając się mocniej szalem — Pogniewam się doprawdy!... Proszę iść natychmiast do domu!...

Chłopiec dziwnie ujmującym gestem złożył ręce, jak do modlitwy.

— Niech się pani nie gniewa! Powiedziałem sobie, że to będzie dobry znak dla mnie, jeżeli jeszcze raz panią dzisiaj zobaczę...

Józia sama nie wiedziała, czy się ma śmiać, czy gniewać. Trochę jej przytem pochlebiało bezgraniczne uwielbienie młodocianego artysty, a więcej jeszcze była rozczulona jego pokorą i wdziękiem.

— No, to już pan mnie zobaczył! Niech pan w tej chwili idzie!...

— Tak pani każe? — zakaszlał znowu.

— Każę!

— Jestem posłuszny odchodzę. — ślicznym, miękkim ruchem pochylił głowę, jak paź, przyjmujący rozkazy królowej. Ale nie odchodził jeszcze.

— Panno Józiu, jeżeli jutro będzie pogodniejszy dzień, otworzę okno i będę grał... dla pani...

— Dobrze, dobrze... Panie, pan tutaj jeszcze jest?!...

— A co mam grać?...

— Co pan chce! Panie Adasiu, na miłość Boską, proszę iść!...

— Nauczyłem się teraz nowej pieśni do słów Heinego: „Ty jesteś jak kwiat piękną, czystą, powiewną"...

— Czy pan chce, żebym się przeziębiła przez pana?...

To poskutkowało nareszcie. Adaś ukłonił się raz jeszcze i szybko przemknął przez ulicę.

Józia odetchnęła z ulgą, widząc, że zniknął w bramie przeciwległego domu.

— Szalony chłopak — pomyślała — ale bardzo miły!... Jaki on różny od swoich kolegów... Taki delikatny... wrażliwy... Może dlatego, że artysta... No, ale dzisiaj to mnie urządził. Będę ja miała pasztet od cioci.

Panna Antonina przywitała ją z załamanemi rękami, z oczyma rozszerzonemi przerażeniem, z twarzą zrozpaczoną.

— Józka — jęknęła — coś ty znowu najlepszego zrobiła!... Widziałam, jak Pieprzykiewiczowa odsuwała storę i patrzyła!... Jutro całe miasto będzie się trzęsło od plotek!

— Więc cóż, miałam mu pozwolić, żeby dalej stał na ulicy?

— Ale dlaczego ciebie to się zawsze muszą czepiać jakieś awantury?! Panienkom, które się zachowują, jak należy, coś podobnego się nie zdarza. Ja tego znosić dłużej nie będę, to się musi raz skończyć!

— Oby się skończyło jak najprędzej! — westchnęła Józia.

Myślała wszakże o zupełnie innem, niż ciotka, zakończeniu.

— Jak ty wyglądasz! — strofowała dalej ciotka — Na sukni pełno śniegu, poplamisz mi dywan! Włosy mokre, rozczochrane. Idź zaraz do mojego pokoju... Uczesz się porządnie i włóż świeżą bluzkę...

— Teraz? Po co?!

— Pan Pietraszek obiecał, że zajrzy do nas na chwilkę po kolacyi.

Teraz Józia zrobiła zrozpaczoną minkę.

— Ten nudziarz! Znowu?!

Ciotka, która zaczęła sprzątać ze stołu, przerwała swoją robotę i spojrzała na nią ostro.

— Proszę! Nudziarz... Może chcesz, żebym ci tutaj jakich młokosów, mydłków, wiercipiętów spraszała...

— Wcale nie myślę o tem, żeby mi ciocia kogokolwiek zapraszała. Mizia!... Mizia!... Mizusia!... — zawołała na kota, który wykonywał niesłychanie szybkie skoki po pokoju, wzywając w ten sposób do zabawy ze sobą.

— Proszę cię, zostaw Mizię w spokoju i idź się przebrać. Chcę, żebyś przyzwoicie wyglądała i żebyś się zachowywała grzecznie i uprzejmie wobec pana Pietraszka.

— Zupełnie nie mam zamiaru zachowywać się jakkolwiek względem niego, tylko zrobię tak, żeby mnie nie było.

— Jakto?

— Pójdę sobie do pokoju cioci i zamiast słuchać jego nudnych bajdurzeń, poczytam coś przez ten czas.

— Nie zrobisz tego!

— Dlaczego? — zapytała Józia, tonem, który przekonywał dobitnie, że właśnie to, co zamierza, wykona istotnie.

— To byłoby bardzo niestosownie.

— Ciocia mu powie, że mnie głowa boli i koniec.

— Głupie gadanie!... Opatrzność Boska czuwa nad tobą, zsyła ci niespodziewane i niezasłużone szczęście, a ty je chcesz własnowolnie, przez głupie widzimisię, podeptać!

Panna Antonina uprzątnęła ślady kolacyi ze stołu i zabrała się znowu do swojego szalika.

Siostrzenica spoglądała na nią oczyma, rozszerzonemi zdziwieniem.

— Jakie szczęście?... O czem ciocia mówi?... Nie rozumiem.

— Naturalnie, jeżeli jakiś młokos, gołowąs, przewraca do ciebie oczyma, jeżeli jakiś wyelegantowany wiercipięta, jakiś wygadany fircyk prawi ci nonsensy, to ty to zaraz spostrzeżesz. Kiedy zaś porządny, stateczny, odpowiedzialny człowiek daje ci do poznania, że gotów się starać o ciebie, to wtedy nie rozumiesz.

Józia podeszła do pułki, napełnionej książkami i brała do ręki jeden po drugim grubsze i cieńsze tomiki w różnokolorowych, papierowych okładkach.

Przy ostatnich słowach ciotki przestała oglądać książki, odwróciła głowę ku pannie Antoninie i nagle wybuchnęła śmiechem:

— Ależ ciocia dzisiaj usposobiona do żartów! Doskonałego mi ciocia męża wynalazła!

— Powinnaś na tę intencyę codzień odmówić nowennę do św. Antoniego. Takie niesłychane szczęście dla ciebie!

— Dziękuję ślicznie za takie szczęście, nie jestem godna! Ciociu, zmiłujże się ciocia! Toż on jest łysy, ma krzywe nogi i mówi przez nos. Mógłby z pewnością być moim ojcem i do tego ma jeszcze dwoje obrzydliwych, skrofulicznych, wrzaskliwych bachorów.

— Józka! Jak się ty wyrażasz!... Gdzie się ty takich wyrażeń nauczyłaś!... Głupia jesteś!...

— Ciocia mi to tyle razy powtarza, że, doprawdy, gotowam zgłupieć...

— Pan Pietraszek — ciągnęła dalej panna Korzewska — jest człowiekiem ze wszech miar godnym szacunku. Przytem ma dobrą, stałą posadę. Jest nadoficyałem pocztowym.

— O tem pamiętam. Bo jeżeli przypadkiem zapomni się powiedzieć mu, panie nadoficyale, to robi taką minę, jakby mu kto na najboleśniejszy nagniotek nadeptał.

— Należy mu się ten tytuł. Zdobył go zasługą i pracą. Otóż pan Pietraszek może zapewnić żonie wygodne utrzymanie. Na wypadek jego śmierci, żona ma zabezpieczoną przyszłość, bo dostanie pensyę.

— Ja tam nie spekuluję na jego śmierć. Niech sobie żyje do stu lat i nawet dłużej, jeżeli mu się tak podoba.

— Przestań! Zdaje ci się, że jesteś dowcipna, a twoje koncepty są głupie i niesmaczne! Jesteś strasznie źle wychowana. I doprawdy, aż dziwić się trzeba, że człowiek tak poważny i rozumny, jak pan Pietraszek, mógł o tobie...

— Wie ciocia, że i ja się także dziwię...

— Nie przerywaj! Powtarzam, to szczęście niespodziewane, niesłychane!... Dla dziewczyny bez posagu i w dodatku po takich kompromitujących awanturach!...

Józia, z charakterystyczną dla siebie zmiennością humoru i usposobienia, nie rozgniewała się tym razem ani też obraziła. Przeciwnie, w jasnych jej oczach zamigotały filuterne, wesołe ogniki.

Stanęła przed ciotką, ujęła się rękami pod boki i zawołała:

— Wie ciocia co? Ja mam myśl!

— No, cóż tam nowego? Już, jak ty coś wymyślisz...

— Więc ciocia jest tego zdania, że pan Pietraszek jest doskonałą partyą, jest człowiekiem poważnym, statecznym, rozumnym, godnym zaufania, szacunku, ze wszechmiar pożądanym na męża, ba! nawet bardzo przystojnym i wcale niestarym... i tak dalej i tak dalej... Czy nie tak, ciociu?

Panna Antonina podniosła oczy z ponad swojej roboty i badawczo, wahająco spojrzała na siostrzenicę. Nie była pewna, czy Józia mówi poważnie, czy też jest to tylko dalszy ciąg żartów z pana Pietraszka. Ton głosu dziewczyny był poważny, jakiś nawet jakby uroczysty, ale wargi jej drżał lekko, niby od powstrzymywanego śmiechu, a oczy ukryły się tak pod długiemi rzęsami, że nie można było zaobserwować ich wyrazu.

— Tak! Takie jest moje zdanie! — wyrzekła wreszcie stanowczo panna Korzewska.

— Zatem... Jeżeli on się tak cioci podoba, to niech ciocia za niego wyjdzie za mąż!...

Panna Antonina aż podskoczyła na krześle. Zaczęty szalik wraz z kłębkiem włóczki i drutami upadł na ziemię.

Spostrzegł to kot, rzucił się jednym skokiem na kłębek, zaplątał łapki we włóczce i jął ciągnąć po pokoju kłębek i rozsnuwać go.

Jego systematyczna, porządna i oszczędna pani nie zwróciła na to teraz uwagi.

Zanadto była oburzona na Józię.

— Jak śmiesz, smarkato!... Kpiny sobie urządzasz z osoby starszej, z ciotki, z opiekunki!...

— To nie są żadne kpiny! — odrzuciła wcale nie zmieszana Józia — Jeżeli on się mnie nie podoba, to z jakiejże racyi mam za niego wychodzić?! A podoba się cioci, to niech go ciocia bierze!... Ja będę drużką!...

— Milcz! — wrzasnęła panna Antonina głosem tak ostrym i przenikliwym, że dziewczyna stropiła się i umilkła.

Na policzkach starej panny ukazały się ceglaste wypieki, szpiczasty koniec długiego, ostrego nosa drgał silnie, wypłowiałe oczy zaiskrzyły się gniewem.

Józia nie przeczuwała nawet, jak boleśnie potrąciła w duszy ciotki strunę starannie tajonych, a daremnych marzeń. Nie miała ona zamiaru dokuczyć swojej opiekunce. O! po prostu chciała obrócić w żart niemiłą rozmowę, a dziecinna pustota podsunęła jej wyobraźni komiczny obraz łysego pana Pietraszka, dążącego na swoich krzywych nogach do ołtarza pod rękę z panną Antoniną — w białej sukni, w welonie i wianku mirtowym.

Józia Maliniewiczówna była jedną z tych natur, u których słowo, lub nawet czyn, wyprzedzają refleksyę, zastanowienie.

Panna Antonina zaś doznała tego samego zupełnie wrażenia, jak przed laty, kiedy jej siostrzenica zadeklamowała na imieniny: „Ach w noc taką — być tylko we dwoje“...

Stara panna wstała, wyprostowała swoją długą, chudą, płaską postać i zmierzyła Józię spojrzeniem złem, gniewnem, prawie nienawistnem.

Spokojniej już, ale bardzo twardo, sycząc przez zaciśnięte zęby, powiedziała:

— Jesteś dziewczyną źle wychowaną, hardą, bez serca, bez odrobiny szacunku dla starszych! Wiem, że cię nie zmienię, ale, dopóki jesteś w moim domu, mam prawo wymagać i wymagać będę, żebyś się zachowywała przyzwoicie... Zabraniam ci raz na zawsze wypowiadania w mojej obecności głupich, ordynarnych konceptów!

W oczach Józi zgasły już figlarne iskierki. Dziewczyna poczuła sama, że żart jej był niestosownym i niedelikatnym.

Gdyby panna Antonina zgromiła ją trochę łagodniej, gdyby znalazła w sobie trochę zrozumienia i pobłażania dla tej nieobmyślanej swawoli — byłaby może utorowała sobie drogę do serca Józi.

Dziewczyna rzuciłaby się jej na szyję i przeprosiła serdecznie, szczerze. Lecz twardy ton ciotki, twardszy jeszcze, niż słowa, uraził znowu głęboko Józię.

Panienka podniosła hardo głowę i chłodno odpowiedziała:

— Dobrze. Postaram się do tego zastosować. Jeżeli słowa moje obraziły ciocię, to przepraszam za nie. Oświadczam jednak stanowczo i nieodwołalnie, że nie zgadzam się na to, by mnie ciocia z kimkolwiek swatała. Jestem dorosła, mam swoje zdanie i... jestem już narzeczoną!

Ciotka roześmiała się ostro, chrypliwie, nieprzyjemnie.

— Narzeczoną!... Ten twój narzeczony troszczy się o ciebie, jak ja o zeszłoroczny śnieg.

Oczy Józi pociemniały — cała twarz, jakby się nagle postarzała.

Zapanowała nad łzami, które ją dławić poczynały i spokojnie odrzuciła:

— To już nikogo nie dotyczy, tylko wyłącznie mnie. A teraz dobranoc. Odchodzę. — dodała, chwytając słuchem miarowy, powolny rytm ciężkich kroków męskich na ulicy.

Panna Antonina nie protestowała. Józia schwyciła pierwszą lepszą z brzegu książkę i zniknęła z nią w głębi sąsiedniego pokoju, zamykając cicho i starannie drzwi za sobą.

Kiedy się znalazła sama w mrocznej sypialni, rozświetlonej tylko tajemniczym, czerwonawym blaskiem lampki, płonącej przed porcelanową statuetką Matki Boskiej, książka wysunęła się jej z rąk na podłogę.

Dziewczyna ścisnęła się dłońmi za skronie.

— Boże!... Boże!... Takie życie, to piek o przecież!... I jak długo tego jeszcze?... Kiedyż się to skończy?...

Zaczęły ją trapić refleksye i wyrzuty sumienia.

— Ja chyba byłam za ostra!... I powiedziałam wielkie głupstwo... Może ja doprawdy ciotce przykrość zrobiłam... Kto wie, może ona o tym Pietraszku nieznośnym myślała kiedyś dla siebie i zdawało się jej teraz, że robi dla mnie ofiarę, a ja... Że też to ja wcześniej o tem nie pomyślałam... Ach! Bo czemuż mnie ta ciotka zawsze tak podrażni... Trzeba ją było jednak serdeczniej przeprosić...

Byłaby się wróciła, gdyby nie posłyszała w przyległym pokoju nosowego głosu pana Pietraszka.

Wzdrygnęła się i zatrzymała. Znalazła na nocnym stoliku pudełko zapałek i świecę w zielonym blaszanym świeczniku. Jasny płomyk zadrżał, zamigotał. Na biało malowanej ścianie z zielonymi szlakami zatańczyły fantastyczne cienie.

Sypialnia panny Korzewskiej była niezbyt obszerna, ale oddychało się w niej jakoś lżej, niż w sąsiednim pokoju, bo mniej tam było gratów. Lwią część niedużej przestrzeni zajmowało łóżko z orzechowego drzewa — ustawione pod środkową ścianą, naprzeciwko drzwi. To imponujące, szerokie łóżko, wysoko usłane, przykryte wzorzystą kapą i zdobne w rzeźby jakichś dziwacznych łbów zwierzęcych — przedzielał niski stolik nocny i niebieski wojłokowy dywanik od wąskiej, kretonem powleczonej sofki.

Nad łóżkiem urządzono rodzaj kapliczki, pełnej świętych obrazków i posążków, przystrojonej ładnymi bukiecikami nieśmiertelników i bardzo brzydkiemi, czerwonemi, papierowemi różami.

Za ramą jaskrawego, jarmacznego czy odpustowego oleodruku, przedstawiającego patrona panny Antoniny — zatknięte były święcone w kwietną niedzielę palmy.

Ponad tem wszystkiem zaś promieniała i uśmiechała się cudna, słodka zaduma, wzniosłą boskością tchnąca, a jednak tak bardzo ziemska, twarz rafaelowskiej Madonny „della Sedia“. Była to bardzo piękna kopia, pędzlem prawdziwego artysty malowana.

Panna Korzewska obraz ten odziedziczyła po swojej zmarłej krewnej i chlebodawczyni...

W to promienne, przecudne oblicze Matki Bożej wpatrywała się Józia nieraz długo, bardzo długo — i zawsze potem czuła się weselszą, silniejszą, pokrzepioną...

Prócz tego obrazu nie było w tym pokoju niczego, na czemby trochę wybredniejsze oko mogło spocząć z przyjemnością.

Blaszana, na trzech nogach umywalka z więcej niż skromnymi przyborami toaletowymi, lustro w pretensyonalnych, pozłacanych, ale odrapanych już ramach, dwa stołki i niewielka szafka na bieliznę dopełniały umeblowania.

Józia podniosła z podłogi książkę, ułożyła się, jak mogła najwygodniej, na wąskiej sofce i zabierała się do czytania.

Nie mogła jednak skupić uwagi, myśli jej uciekały ciągle od awantur, tłumaczonego z francuskiego romansidła.

— Już przeszło dwa tygodnie nie miałam listu od Konrada... Ostatni raz pisał mi na moje imieniny... Taki długi, śliczny, serdeczny, poetyczny list, ale o przyszłości, o małżeństwie ani słowa... Prawda, matka... On jest od niej zależny, a ta kobieta mnie nienawidzi!... Jak ona wtedy w Zakopanem umiała nas zręcznie rozdzielać... A on jakoś tego nie widział, czy nie chciał widzieć... A może ciotka ma racyę, może on rzeczywiście o mnie poważnie nie myśli!...

Policzki Józi spłonęły krwistym rumieńcem urazy. Dziewczyna zacisnęła kurczowo ręce.

— Nie! To nie!... Nie będę prosić, ani nalegać, ani przypominać!... Nie chcę, żeby się żenił ze mną z litości, z łaski, z obowiązku!... Nie! Nigdy!... Możemy znowu zerwać... Niech się żeni z kim chce. choćby nawet z tą... z tą Izą... Jeżeli mnie nie kocha prawdziwie — to mi to wszystko jedno!...

Ale nie było jej wcale wszystko jedno. Na myśl, że Konrad może ożenić się z Izą lub z jakąś inną kobietą, uczuła silny, zupełnie fizyczny ból serca i przykre dławienie w gardle.

Przymknęła powieki i... widziała przed sobą ciemne, magnetyzujące oczy i tą bladą, mizerną, drogą twarz, rozjaśnioną uśmiechem, który miał dla niej dziwny, nieprzezwyciężony urok.

Owionął ją żar wspomnień... Zatargała dziewczyną tęsknota bezmierna...

— Konrad!... Konrad!... Mój!... Mój!... To niepodobna, żeby on mnie nie kochał, żeby zapomniał... Och! Jak się ten Pietraszek wstrętnie, idyotycznie, wrzaskliwie śmieje!... — wstrząsnęła się nagle — Ze też ciotka to znosi...

Usiłowała odpędzić dręczące myśli, stłumić palącą tęsknotę i zająć się znowu przygodami pięknego wicehrabiego de Vaugirard, który dla miłości aktorki Jaqueliny rzuca dom, majątek, rodziców i zostaje wędrownym aktorem. Ale cała ta historya, wydawała się jej tak głupią i nieprawdopodobną, że odrzuciła z niesmakiem książkę.

— Nawet porządnej książki do ręki tutaj dostać nie można... Walczakowie... ci, to mają bibliotekę... Tam było co czytać... Ile ja tam korzystałam... Anielka dawała mi wskazówki, czasem nawet sam Walczak... O! Gdyby tak można pojechać do Zalesinek... Anielka ma malutką córeczkę... Pomagałabym bawić ją, pielęgnować. Jakby to było pięknie... inaczej... Ale niepodobna, nie... Choć oni tacy dobrzy, przebaczyli mi... nie mogę przecież spotkać się z nim... z Władkiem... Biedny Władek! Jak on mnie kochał... Onby nigdy... Ach! Co tam, głupstwo...

Józia nie chce porównywać. Instynktownie obawia-się, że porównanie wypadnie na niekorzyść Konrada.

Myśl jej mimowoli jednak zwraca się do porzuconego tak brutalnie narzeczonego, Władysława Michnika.

— Co on tam robi?... Anielka nic o nim nie pisze... Czy też pocieszył się już, zapomniał?... Może... Mężczyźni krótko pamiętają... A jeżeli nie teraz jeszcze, to z czasem... Zobojętnieje, zapomni, ożeni się... Zostanie kierownikiem szkoły, będzie miał taki biały, ładny domek i ogród śliczny i żonę i dzieci... i szczęście... i spokój, a ja, co?... Mam ojca, a tak właściwie, jakbym go nie miała... mam niby narzeczonego i n e mam... I domu nie mam... ani kąta własnego... ani serdecznej rady... pomocy... nic... nic...

Zaczynają się powoli plątać myśli Józi, powieki ciężą... Szmer rozmowy, dolatujący z sąsiedniego pokoju, nie przeszkadza jej już, ale przyjemnie kołysze... Dziewczyna usiłuje chwilę walczyć z ogarniającą ją sennością, ale nie może...

Oczy zamykają się, ręce opadają i Józia zasypia twardym, zdrowym snem, bez marzeń.

Zbudziło ją dopiero silne szarpnięcie za ramię...

Z trudem podnoszą się ciężkie od snu powieki. Józia, niezupełnie jeszcze ze snu zbudzona, bełkocze:

— Co?... Co?...

Zaczyna przecierać rękami zaspane oczy i po chwili przytomnieje. W mdłym, migotliwym blasku widzi pochyloną nad sobą pożółkłą i jakoś w tem słabem świetle niezwykle mizerną twarz ciotki.

Obok, na stoliku, dopala się w świeczniku ogarek świecy.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Z przewrotu rosyjskiego.

Sytuacya w Rosyi wciąż jeszcze jest niewyjaśniona. Każdy dzień przynosi różne niespodzianki, bez których zresztą w tak olbrzymim przewrocie, jak rewolucya rosyjska, nie mogło się obejść... Najwięcej kłopotu sprawiły rządowi wypadki kronsztadzkie. Wybuchła tam jakby druga rewolucya, na której czele stanął nikomu dotąd nieznany student instytutu technologicznego w Petersburgu, Zamanow, typowy doktryner przewrotu. Ogłosił on rodzaj socyalistycznej republiki, opartej na wszystkich znanych utopiach socyalistycznych, jak ogólne wywłaszczenie, „norma pracy“ itp. wystąpił z niesłychaną bezwzględnością przeciwko militaryzmowi, każąc aresztować wszystkich oficerów, przebywających w Kronsztadzie. Oprócz tego ogłosił podział Rosyi na szereg małych republik, które mają dopiero wytworzyć rodzaj konfederacyi. Pod wpływem tego mistyka-anarchisty zapanowały w Kronsztadzie rządy czerni i bezład, grożący ogólną katastrofą. Żadne łagodne upomnienia rządu tymczasowego, ani Rady robotniczej nie pomagały; wysłano zatem do Kronsztadu ministrów socyalistycznych, Czeretelego i Skobelewa, aby opamiętali Zamanowa i jego zwolenników. Zdaje się jednak, że jedynym środkiem, który poskromi te nieprawdopodobne wybryki, będzie ogłodzenie miasta, co może bardzo prędko nastąpić. W każdym razie zajścia te są znamienne dla naprężenia, w jakiem znajduje się rosyjska umysłowość. Zamanow jest na razie odosobniony, ale w każdem mieście mogą pojawić się podobni do niego rewolucyjni awanturnicy, którzy pociągną ciemne tłumy do ekscesów, zagrażających całemu życiu społecznemu kraju.



Z przewrotu rosyjskiego: Wiec inwalidów w sali Dumy państwowej w Petersburgu.



Z przewrotu rosyjskiego: Zjazd delegatów z frontu w Mińsku 1) Jenerał Korniłow. 2) Prez. Dumy Rodzianko 3) Guczkow. 4) Rodiczew. 5) Przewodniczący zjazdu Pozern.

Ważnem wydarzeniem w zakresie wojskowym jest ustąpienie głównodowodzącego, jenerała Aleksiejewa, i powołanie na jego miejsce jenerała Brusiłowa. Głównym powodem tej zmiany jest brak energii Aleksiejewa i jego pesymistyczny pogląd na obecny stan armii. Na zebraniu jenerałów, które się odbyło w końcu maja w Petersburgu, roztrząsano możliwość ofenzywy. Aleksiejew wystąpił bardzo stanowczo przeciwko wszelkiej akcyi zaczepnej, która jest z góry skazana na niepowodzenie wobec dezorganizacyi armii. To samo powtórzył w rozmowie z dziennikarzami, którą ogłoszono w dziennikach; tymczasem ententa napiera od pewnego czasu na rząd tymczasowy, chcąc go skłonić do jakichś kroków stanowczych na froncie, a Kierenskij, który niedawno powrócił z podróży do głównych kwater wszystkich armii, wywiózł stamtąd wrażenia bardzo dodatnie, zwłaszcza z pobytu u Brusiłowa. Jego też opinia przeważyła w Radzie ministrów, która uchwaliła zmianę osoby generalissimusa. Brusiłow znany jest jako zdolny oficer frontowy i dobry organizator; potrafił też utrzymać u swoich podkomendnych stosunkowo najlepszą dyscyplinę po wybuchu rewolucyi; jest to przytem człowiek ambitny i w wojsku popularny; wszystkie te zalety zadecydowały o jego nominacyi.

Należy też oczekiwać, że przystąpi on energicznie do przygotowań wojennych i znajdzie przytem pełne poparcie Kierenskiego. Najtrudniejszą jest jednak kwestya amunicyi. Ludzi nie zabraknie armii rosyjskiej, nawet po masowych dezercyach dwóch ubiegłych miesięcy, ale wyrób pocisków zależy od dostarczenia potrzebnych materyałów i od gorliwości i sumienności robotników. Pod tym względem sytuacya przedstawia się dość niepewnie. W wielu fabrykach petersburskich wybuchają ciągle strajki, które opóźniają robotę, tak, że zarząd wojskowy nigdy nie może być pewny, czy otrzyma w porę swoje zamówienia. Dopóki ta kwestya nie zostanie załatwiona, trudno myśleć o poważnej ofenzywie; w każdym jednak razie nominacya Brusiłowa jest zapowiedzią bardziej ożywionej akcyi wojskowej.

Rząd rosyjski, pomimo najrozmaitszych kłopotów wewnętrznych, przygotowuje wybór konstytuanty, która zadecyduje o dalszych losach Rosyi.

Projekt wyborów został już opracowany przez komitet prawniczy Rady ministrów, a teraz obraduje nad nim wielka międzypartyjna komisya, w której zasiadają oprócz członków gabinetu i delegatów Rady robotniczej, przedstawiciele wszystkich istniejących w Rosyi stronnictw politycznych i po jednym reprezentancie Polaków, Ukraińców, Łotyszów, Estów, Litwinów, Gruzinów, Ormian, Muzułmanów i Żydów. Polacy litewscy zasadniczo nie mieszają się do spraw konstytuanty, w komisyi uczestniczy zatem tylko delegat polskiego komitetu wykonawczego w Kijowie. W obradach biorą także udział rzeczoznawcy stosunków syberyjskich i środkowo-azyatyckich. O ile wiadomo, czynne prawo wyborcze do konstytuanty mają uzyskać mężczyźni i kobiety z ukończonym dwudziestym rokiem życia, bierne prawo wyborcze z ukończonym trzydziestym rokiem. Rozdział okręgów, liczbę mandatów, sposób głosowania i miejsce, gdzie sejm konstytucyjny się zbierze, oznaczy dopiero komisya. Obrady potrwają długo i zanim Duma uchwali ostateczny projekt, upłynie kilka miesięcy. W żadnym razie konstytuanta nie będzie zwołana przed październikiem bieżącego roku.

Jednocześnie z przygotowaniami do konstytuanty, zwolna przygotowuje się w Petersburgu cały szereg procesów przeciw dawnym władcom, z carem i carową na czele. Oskarżenie przeciw carowi i carowej



Z przewrotu rosyjskiego: Manifestacya żołnierzy w dniu 1. maja w Carskiem Siole.

jest ściśle związane ze sprawą ostatniego ministra spraw wewnętrznych, Protopopowa.

Rząd tymczasowy ustanowił nadzwyczajną komisyę śledczą, która bada postępowanie wszystkich ministrów i wyższych urzędników z okresu wojny. Przeciwko Protopopowi podniesiono oskarżenie o zdradę stanu, głównie z powodu jego głośnej w swoim czasie podróży do Sztokholmu, gdzie występował, jako pośrednik pomiędzy dworem i tamtejszymi niemieckimi ajentami. W Petersburgu utrzymują, że Protopopowa wysłała do Sztokholmu carowa, aby tam nawiązał stosunki z Niemcami celem zawarcia odrębnego pokoju bez wiedzy sprzymierzeńców i Dumy. Podejrzenie to nie jest zupełnie bezpodstawne i nie ulega wątpliwości, że Protopopow odbył jakieś konferencye, co do których treści nie mógł dać wystarczających wyjaśnień.

Jego ówczesny towarzysz, hr. Olsufiew, dał również bardzo mętne tłumaczenie tej podróży, faktem zaś jest, że, bezpośrednio po powrocie ze Sztokholmu, Protopopow został mianowany ministrem spraw wewnętrznych i, jedyny z członków gabinetu, był wzywany często do Carskiego Sioła na poufne narady z carem. Panuje mniemanie, że służył za pośrednika carowej w jej tajnych stosunkach z zagranicą, ale pewnem jest tylko, że miał bardzo przewrotne plany co do spraw wewnętrznych. Zamierzał mianowicie sprowokować wybuch rozruchów w Petersburgu, krwawo je stłumić, Dumę rozpędzić i przywrócić rządy nieograniczone. On to właśnie kazał na strychach i dachach wszystkich gmachów publicznych poustawiać karabiny maszynowe, aby wystrzelać tłumy, demonstrujące na ulicach; odjęto zatem armii 300 kartaczownic, w chwili, gdy najbardziej były potrzebne na froncie; nie przewidział tylko Protopopow, że załoga petersburska, że nawet pułki gwardyjskie staną po stronie rewolucyi. Za tę omyłkę będzie teraz pokutować.

Obok Protopopowa dwaj inni ministrowie, Chwostow i Szczegłowitow, będą pociągnięci do odpowiedzialności za nielegalne zarządzenia, wydawane podczas wojny. Golicyn, prezes gabinetu, przy wybuchu rewolucyi został wypuszczony na wolność jako figurant bez znaczenia.

Inną kategoryę mają stanowić procesy przeciwko jenerałom, którzy, jak Rieman, Kurłow i kilku innych, odznaczyli się przy okrutnem tłumieniu rewolucyi 1905 r. Śledztwa przeciwko tym bohaterom dawnego systemu nie są jeszcze ukończone. Sprawy powyższe dojrzewają dopiero, proces Suchomlinowa doszedł już do aktu oskarżenia, który podnosi przeciwko byłemu ministrowi wojny dwojakie zarzuty: niedbalstwo, ewentualnie przedajność podczas urzędowania i udział w zdradzie stanu.



Ameryka w wojnie światowej: Werbunek ochotników w Nowym Jorku.

Dziś już powszechnie wiadomo, że Rosyanie przegrali kampanię galicyjską głównie wskutek złej organizacyi artyleryi i braku amunicyi. Akt oskarżenia dowodzi, że Suchomlinow, który był wówczas ministrem wojny, nie tylko nie postarał się o powiększenie fabrykacyi pocisków, ale, dając uspokajające zapewnienia jeneralnemu sztabowi i wojskowym pełnomocnikom sprzymierzeńców, wprowadził w błąd kierownictwo armii i spowodował klęskę. Nieudolność Suchomlinowa była w armii znana już w chwili, kiedy otrzymał nominacyę na ministra; pamiętać jednak należy, że i w państwach centralnych nie przewidziano tak olbrzymiego zużycia amunicyi, jakie nastąpiło podczas wojny obecnej; tylko, że tam umiano sobie w porę poradzić, podczas, gdy rządowa organizacya administracyi wojskowej w Rosyi nie pozwoliła na szybsze wypełnienie braków. Chodzi tylko o to, czy Suchomlinow brał udział w niejasnych spekulacyach członków komitetu artyleryjskiego, w pierwszej linii odpowiedzialnego za wyrób pocisków i ładunków. Jak we wszystkich instytucyach publicznych w Rosyi i w tym komitecie praktykowało się łapownictwo na wielką skalę, a fabrykanci i dostawcy okupywali różne ulgi poważnemi kwotami, z wielką szkodą dla armii. Jest bardzo prawdopodobne, że Suchomlinow, który był przełożonym komitetu, czerpał stamtąd pewne zyski, chociaż na swoje usprawiedliwienie może przytoczyć, że jego poprzednicy postępowali tak samo.



Wybuch w fabryce amunicyi: Hala odbiorcza w zakładach Skody w Belowcu pod Pilznem.



Wybuch w fabryce amunicyi: Przygotowywanie i rewizya zapalników do pocisków w zakładach Skody w Belowcu pod Pilznem.

Druga część oskarżenia odnosi się do głośnej sprawy Miasojedowa, powieszonego za zdradę na korzyść Niemiec w pierwszym roku wojny. Miasojedow był przed wojną, jak wiadomo, pułkownikiem żandarmeryi na stacyi granicznej w Wierzbołowie i miał sobie powierzony nadzór nad rosyjską służbą wywiadowczą, funkcyonującą w Niemczech. W Petersburgu dawno już mówiono o jego podejrzanych stosunkach i nieustannej pogoni za pieniądzmi, mimo to, po wybuchu wojny, przydzielono go do głównej kwatery, gdzie dalej pełnił swoje poprzednie obowiązki. Jakiś podejrzany list, który wpadł w ręce sztabu, naprowadził na ślad jego szpiegostwa, a sąd wojenny skazał go na karę śmierci przez powieszenie, co zostało wykonanem w trzy godziny po wyroku. Podobno przed śmiercią Miasojedow przyznał się do wszystkiego i wskazał swoich wspólników. Są to jednak wiadomości niepewne, a szczegóły jego



Teatr polski w Łodzi: Grupa artystów sceny krakowskiej przed wyjazdem do Łodzi.



Z frontów bojowych: Kościół i budynki parafialne w miejscowości koło Ypern, zniszczone ogniem nieprzyjacielskiej artyleryi.

procesu były dotychczas niedostępne dla szerszej publiczności. Zdaje się jednak, że Miasojedow pozostawał w bliskim związku z kilku osobistościami w Petersburgu, które tam oddawały pewne usługi ajentom mocarstw nieprzyjacielskich. Obecnie sprowadzono do Petersburga pod silną eskortą panią Aurich, która za udział w sprawie Miasojedowa była zesłana przed półtora rokiem do Omska. Ma ona złożyć wyjaśnienia co do stosunków Miasojedowa z Suchomlinowem i jego żoną. Od jej świadectwa zależeć będzie prawdopodobnie los byłego ministra wojny.

Proces Suchomlinowa stanowi jakby prolog do całego szeregu dramatów politycznych, które rozgrywają się przed trybunałem petersburskim.

Teatr polski w Łodzi.

Niezmiernie ważną pod względem kulturalnym i narodowym placówkę — Teatr polski w Łodzi — obejmują na sezon 1917/18 p. Stanisławski i Frączkowski. Nazwiska znane dobrze publiczności krakowskiej. P. Stanisławski służył teatrowi krakowskiemu przez lat czternaście. Stworzył na scenie im. Juliusza Słowackiego cały szereg kreacyi, stawiających go w rzędzie najwybitniejszych artystów dramatycznych polskich. Znakomitemu artyście i utalentowanemu reżyserowi towarzyszy szczery żal Krakowa i serdeczne życzenia tryumfów na nowym posterunku.

Pan Franciszek Frączkowski, świetny artysta teatru miejskiego we Lwowie, ostatnio w Krakowie, dał się poznać publiczności krakowskiej szeregiem ról większego repertuaru, które zajmą pierwsze miejsce w historyi teatru polskiego.

Nowemu kierownictwu powiodło się z pośród artystów krakowskich pozyskać dwie wybitne siły kobiece: p. Oktawię Trembińską, wysoce utalentowaną przedstawicielkę ról liryczno-dramatycznych i p. Zofię Wierzejską, znakomitą artystkę charakterystyczno komiczną, ostatnio ozdobę wiedeńskiego teatru „Neue freie Bühne“, która nad sukcesy materyalne u obcych przeniosła pracę dla swoich.

Z artystów pozyskało nowe kierownictwo p. Wiktora Biegańskiego, artystę, mimo młodego wieku, już wybitnego i dążącego szybkim krokiem do sławy.



Ameryka w wojnie światowej: Kobieca Liga samoobrony w marszu.

Ponadto opuszcza scenę krakowską, udając się do Łodzi, p. Wacław Nowakowski, jeden z tak nielicznych wśród dzisiejszego pokolenia artystów dramatycznych przedstawicieli ról bohaterskich. Po śmierci ś. p. Mielewskiego dźwigał na swoich barkach cały po nim repertuar. Swietny Konrad-Gustaw, znakomity Uriel, Geniusz z Wyzwolenia, Rapsod z Akropolis i Pułaski — swem ustąpieniem budzi szczery żal szerokiego koła wielbicieli jego talentu. Porzuca też scenę krakowską p. Józef Trzywdar. Któż nie pamięta świetnego artysty w „Komedyi pomyłek“ w „Przed ślubem“ w „Lekkomyślnej siostrze“ w „Czynownikach“? Młody, utalentowany Leszek Stępowski, syn ś. p. Leona, zamyka listę artystów, którzy przenoszą się z Krakowa na bardzo trudną placówkę teatru polskiego w Łodzi.

Wybuch w fabryce amunicyi.

Jest rzeczą niemal nieuniknioną, że przy fabrykacyi pocisków i materyałów wybuchowych, zużywanych w olbrzymiej ilości przez wszystkie armie, zdarzają się od czasu do czasu nieszczęśliwe wypadki i katastrofy. Niedawno widownią takiej katastrofy były znane zakłady Skody w Belowcu pod Pilznem. Jak zwykle w takich wypadkach, rozmiary nieszczęścia zostały znaczuie przesadzone. Kres tym pogłoskom kładzie oficyalne sprawozdanie ministra obrony krajowej w parlamencie, o którem c. k. Biuro korespondencyjne donosi:

„Na piątkowem posiedzeniu Izby rozdano pisemną odpowiedź ministra obrony krajowej na interpelacyę posła Habermanna i tow. w sprawie eksplozyi z dnia 25. maja b. r. w fabryce amunicyi zakładów Skody w Belowcu koło Pilzna. Na podstawie doniesień, minister stwierdza, że przyczyny tej eksplozyi szukać należy w oddziale, wytwarzającym miny, gdzie znajdowało się około 6 ton dynamonu. Wskutek nieostrożnego obchodzenia się, wybuchła jedna mina, a płomienie wywołały eksplozyę dynamonu. Mimo katastrofy, zdołano utrzymać w zakładach Skody dalszy ruch.

Minister z uznaniem wyraża się o akcyi ratunkowej i stwierdza ku swemu największemu ubolewaniu, że wskutek katastrofy zginęło 136 osób. Liczba ta jest, zdaje się, większą, ponieważ brak jeszcze 170 osób. Liczba rannych wynosi 625, z tego 520 lekko. Nie lekceważąc skutków katastrofy, minister stwierdza, że pogłoski o niej były przesadzone. Wydano niezbędne zarządzenia co do odszkodowania rodzin pozostałych po ofiarach“.



Wybuch w fabryce amunicyi: Wykończanie ostateczne luf armatnich w warsztatach Skody w Belowcu pod Pilznem.

Piotr Zaccone

Tajemniczy zbrodniarz

Tłumaczyła: **Marya Segeny.**

3

— Mam dla ciebie świeżą robotę, Bovard — rzekł pan Richard. — Udasz się natychmiast na ulicę Abbacya, pod adres wymieniony tu, na tej karcie i postarasz się coś dowiedzieć od portyera o lokatorach domu.

— To nie będzie trudno — uśmiechnął się ajent.

— W domu tym mieszka niejaki pan Leduc. Chcę się dowiedzieć, co to za człowiek, w jakim jest wieku, czem się zajmuje, jak dawno mieszka na ulicy Abbacya i kogo przyjmuje u siebie. Zrozumiałeś mnie?

— Doskonale, panie dyrektorze!

— Jak tylko zbierzesz jakie wiadomości, przyjdziesz mi ich udzielić i wówczas porozumiemy się co do pewnej sprawy, którą mam do prowadzenia.

— Czy to wszystko, panie Richard?

— Wszystko. Jest teraz godzina ósma, mam nadzieję, że o dziewiątej powrócisz z dobremi wiadomościami.

— Nie wątpię również, panie dyrektorze.

— Idź więc, Bovard i użyj całej swojej zręczności i sprytu. Jeżeli się nie mylę, to sądzę, że trzymam w ręku prawdziwy ślad mordercy z Marsylii.

— A więc to o niego chodzi? — zapytał ciekawie Bovard. — Toby było coś dobrego dla nas, panie dyrektorze. Ja nieraz zastanawiałem się nad tem, dlaczego mnie pan nie zawezwał wcześniej. Takie tajemnicze sprawy, to przecież moja specyalność.

— Zajmiemy się teraz nią obydwaj — odparł pan Richard. — Idź już, Bovard, i spraw się dobrze.

Ajent skłonił się i wyszedł spiesznie, okazując wielkie zadowolenie.

— — — — — — — — — — — — — — — — —

Niedaleko kościoła Saint-Germain, w kamienicy dwupiętrowej mieszkał człowiek, noszący nazwisko Cypryana Leduc. Trudno było określić, czem się on właściwie zajmował. W każdym razie była to dosyć szczególna osobistość. Cypryan Leduc był podobno niegdyś pomocnikiem notaryusza, kandydatem adwokackim i anarchistą. Uchodził za człowieka uczciwego, naiwnego dosyć, cierpliwego i nadzwyczaj ciekawego z natury.

Dom, w którym mieszkał Cypryan Leduc, był narożnym i łączył się z ulicą Fürstenberg. W mieszkaniu swojem Leduc urządził istny zbiór wszelakich przedmiotów. W gabinecie jego obszernym wszystko z pedantyczną systematycznością urządzone było, pułki, wypełnione książkami i rękopisami, nosiły numera i tytuły, wypisane równem, czytelnem pismem. Rękopisy zawierały dokładną biografię najznaczniejszych rodzin francuskich.

Pan Cypryan Leduc prowadził życie bardzo regularne. Wychodził codziennie o godzinie ósmej, powracając w południe. Po zjedzeniu śniadania i przeczytaniu dzienników, przyjmował interesantów i gości. Mieszkał już w tej samej kamienicy lat trzydzieści, skromny, nie narzucający się i nie zajmujący swoimi sąsiadami.

W dniu, w którym pan Richard, prokurator z Marsylii, przybył do Paryża, Cypryan Leduc jak zazwyczaj, znajdował się o godzinie dwunastej w swoim gabinecie. Siedział przed biurkiem, spożywając śniadanie, złożone z zimnego mięsiwa i chleba. W tej chwili zapukano dwukrotnie do drzwi gabinetu.

— Proszę wejść! — zawołał pan Leduc — donośnym głosem.

Wszedł człowiek pięćdziesięcioletni, ubrany w długi, czarny surdut, z twarzą wygoloną starannie, na której widniał wyraz sztucznego ugrzecznienia i usłużności.

— Pan Cypryan Leduc? — zapytał nieznajomy, kłaniając się nisko.

Archeolog wyprostował się i objął przybysza bystrem spojrzeniem.

— To ja, mój panie — odpowiedział, nie porzucając śniadania rozpoczętego.

— W takim razie poproszę pana o łaskawe towarzyszenie mi.

— W jakim celu?

— Powiem to panu po drodze.

— Ale któż pan jest?

— Czy naprawdę pragnie się pan o tem dowiedzieć? — odparł nieznajomy, uśmiechając się.

— Co za dziwne pytanie!

— A więc, oto mój bilet. Zechce się pan sam przekonać i zrozumieć.

Mówiąc to, nowoprzybyły wręczył panu Leduc kawałek bristolu, na którym widniał napis: „Buvard, ajent policyi". Archeolog nie okazał najmniejszego zdziwienia.

— Dobrze — służę panu — rzekł spokojnie. — Chętnie będę panu towarzyszyć, ale mam nadzieję, że pan mi wyjaśni, dokąd się udać zamierzamy.

— Do dyrekcyi policyi.

— Coraz lepiej, a może mnie pan objaśnić, czego tam żądają odemnie?

— To już leży w atrybucyi komisarza policyi — odpowiedział Buvard, kłaniając się grzecznie.

Cypryan Leduc nie uczynił już żadnej uwagi. Powstał z fotelu, uporządkował papiery na biurku, część ich zamknął w żelaznej szafie, zajmującej pokój, wziął z wieszadła płaszcz i kapelusz i stanął przed ajentem.

— Jestem do usług pana — wymówił poważnie.

— Jedźmy więc — odparł Buvard. — Dorożka moja czeka na dole, za kilka minut będziemy w dyrekcyi.

Rzeczywiście w dziesięć minut później Leduc i ajent wychodzili z powozu i znaleźli się w długich korytarzach gmachu policyjnego. Kiedy minęli kilka drzwi i zakrętów, Buvard zatrzymał się w niedużym przedpokoju, w którym drzemał na ławce chłopiec biurowy.

Ajent ujął go za ramię i zapytał:

— Wstęp wolny?

— Tak — brzmiała odpowiedź.

Wówczas ajent otworzył drzwi i, popychając przed sobą Leduca, wszedł do pokoju.

Dyrektor policyi siedział przed biurkiem, zajęty pisaniem.

— Oto ten człowiek! — wyrzekł Buvard i natychmiast wyszedł do przedpokoju.

Leduc nie zdawał się być zmieszanym tą dziwną sytuacyą. Spojrzał z uśmiechem na człowieka, siedzącego przed biurkiem i zapytał spokojnie:

— Z kimże mam przyjemność mówić?

— Jestem dyrektorem policyi.

— Ach! Doskonale! — szepnął Leduc.

Pan Richard bacznie obserwował swojego gościa i wzrok jego bystry i przenikliwy zdawał się go nawskróś przenikać. Jednakże człowiek ten, stojący przed nim w skromnej postawie, szczupły i niski, z dobrodusznym uśmiechem na twarzy, nie miał wyglądu przebiegłego zbrodniarza. Cień niezadowolenia i zawodu przemknął po twarzy szefa policyi. Wyciągnął po chwili kartkę papieru z szuflady biurka i, przeglądając ją, zapytał:

— Pan jest Cypryanem Leduc?

— Tak jest.

— Archeologiem i biografem?

— Tak jest.

— Jest pan bardzo zajęty?

— To zależy.

— A obecnie?

— Och! Obecnie sprawy moje stoją wcale dobrze. Nie mam chwili wolnego czasu.

— Nie przeszkadza panu to jednak podróżować?

Leduc wyprostował się na tę uwagę, uczynioną ironicznym tonem.

— Jakto? — zapytał zdziwiony.

— To przecież jasne. Powtarzam, że nawał pracy, o którym pan mówi, nie przeszkadza panu podróżować, tak, jak to pan jeszcze niedawno uczynił.

Leduc zmarszczył czoło z niezadowoleniem.

— Pan o tem wie? — zapytał.

— Przyznaje więc pan?

— Dlaczego miałbym to ukrywać?

— Byłoby to rzeczywiście niepotrzebne, bo posiadam w rękach dowody, iż znajdował się pan dwa dni temu na przedmieściach Marsylii, i że pan tam zgubił ten oto bilet wizytowy, znaleziony przezemnie w okolicy Saint-Nicolas.

Mówiąc to, pan Richard podsunął pod oczy Cypryana Leduc kartkę zakurzoną i pokrytą błotem, na której mógł wyczytać nazwisko swoje i miejsce zamieszkania.

— No, i cóż mi pan ma na to do odpowiedzenia? — nalegał szef policyi.

Leduc powoli wstrząsnął głową.

— Prawie, że nic, to chyba tylko, że, jako człowiek, powinienem zawsze liczyć się z przypadkiem.

— A więc przyznaje pan, że udałeś się dwa dni temu do Saint-Nicolas?

— Oczywiście.

— Czy znajdował się pan tam, kiedy zbrodnia popełnioną została?

— Nie, proszę pana. Właśnie wiadomość o tej strasznej zbrodni zadecydowała o mojej podróży.

— Oto zeznanie dosyć ważne.

— Przyznaję to.

— W jakim celu wyjechał pan z Paryża?

— Chciałem sam obejrzeć teren zbrodni — odpowiedział archeolog z prostotą — a to ze względów osobistych.

— Ze względów osobistych?

— Tak jest. Chciałem upewnić się co do niektórych okoliczności, które mnie szczególniej uderzyły.

— Proszę, niech się pan jaśniej wyrazi!

— Trudno będzie, a jednak spróbuję. Przedewszystkiem zaznaczyć panu muszę, że również silnie zainteresowany zostałem zbrodnią, popełnioną pięć miesięcy temu na folwarku pana Lorain. Nie miałem żadnej wątpliwości, że morderca pana Valentin i jego żony, jest tą samą osobą i udałem się do Saint-Nicolas, aby wynaleźć dowody potwierdzające moje przypuszczenie.

— A te dowody? — zapytał pan Richard, zdziwiony słowami archeologa.

— Zdaje mi się, że je posiadam.

— Aby mieć tę pewność, musi pan znać nazwisko mordercy.

— Może je znam.

— I mógłby je pan wskazać policyi?

— Mógłbym.

— Ah! Niechże więc pan mówi, niech pan wyjaśni wszystko, co wie! — zawołał poruszony szef policyi.

Pan Leduc zaprotestował energicznym ruchem ręki.

— Nie mogę nic dodać ponadto, co powiedziałem — odpowiedział stanowczo. — Moje sprawy osobiste wymagają wielkiej dyskrecyi. To, co się dzieje w moim gabinecie, nie może być znane nikomu.

— Nawet policyi?

— Nawet policyi.

Pan Richard żachnął się niecierpliwie.

— Ach! Niech się pan strzeże, panie Leduc — rzekł surowo. — Bo, jeżeli upierać się pan będzie dalej przy tem milczeniu, którego wytłumaczyć sobie nie umiem, może pan wyjść z tego pokoju pod zarzutem wspólnictwa w zbrodni.

Pan Leduc spokojnie skłonił głowę.

— Uczyni pan według swojej woli, panie dyrektorze — odparł — ale przysięgam panu, nie powiem nic więcej. Nic na świecie, nawet obawa przed więzieniem, nie zdoła mi wydrzeć tajemnicy, która nie jest moją. Chce mnie pan uwięzić, jako wspólnika tych ohydnych zbrodni? Do czego to pana doprowadzić może? Czy sądzi pan, że tym sposobem pochwyci pan prawdziwego winowajcę? Potrafię się wytłumaczyć przed sądem i zrzucić z siebie to podejrzenie. Ja w więzieniu! — dodał unosząc się. — Ależ pan o tem nie myśli poważnie! Ułatwiłby pan tylko prawdziwemu mordercy możność ukrycia swojej winy.

— Jakże to? — zapytał ze zdumieniem pan Richard. — Nie rozumiem pana!

— Tak jest. Bo wiadomość o mojem aresztowaniu będzie ostrzeżeniem dla mordercy. Potrafi on z tego wyciągnąć korzyść dla siebie i uchronić się przed pościgami policyi. Jeżeli zostanę więźniem pana, tamten stanie się nie do odkrycia, jeżeli zaś pozostawi mi pan wolność, obowiązuję się go odkryć policyi.

— Jakim sposobem?

— To jest moja tajemnica.

Pan Richard powstał nagłym ruchem i zaczął przebiegać pokój wielkimi krokami.

Nastała długa chwila milczenia.

— Czekam, panie dyrektorze — odezwał się wkońcu Cypryan Leduc spokojnym głosem. — Czy jestem więźniem, czy też wolnym jeszcze?

— Jesteś pan wolny! — odpowiedział pan Richard. — Niech pan tylko nie zapomina, że będziemy mieć oczy zwrócone na pana!

— Rozumiem, panie dyrektorze — ale niech pan zapowie swoim ajentom, aby nie okazywali zbytniej gorliwości. Nadmierne czuwanie nad

moimi krokami paraliżować tylko będzie moje ruchy i popsuć może moje zamysły.

— Kiedy pana zobaczę?

— W dniu, w którym będę mógł panu wydać mordercę i przyniosę niezbite dowody jego winy, przyjdę tutaj.

Mówiąc to, Cypryan Leduc skłonił się przed panem Richard i wyszedł z gabinetu.

Tymczasem, kiedy poprzednie fakta rozwijały się, w Paryżu, na przedmieściu Belleville, wydarzył się następujący wypadek dramatyczny, który byłby dostatecznie objaśnił pana Richarda, gdyby był o nim wcześniej powiadomiony.

V.

Istnieje w Belleville dzielnica bardzo oryginalna, składająca się z wąskich uliczek, mało znanych mieszkańcom bulwaru Montmartre. Cała ta dzielnica jest bardzo mało uczęszczana i mało ruchliwa. Gdzieniegdzie spotkać można parę sklepików, nędznych owocarń i handelków, mieszczących się w niskich domkach drewnianych, brudnych, w których żyje ludność najnędzniejsza, przeważnie nie mająca żadnych dochodów stałych i określonego zawodu.

Te rzadkie domostwa odgrodzone są od siebie wysokimi murami, poza którymi dostrzedz można niewielkie ogrody zaniedbane, o karłowatych, nawpół uschniętych drzewach. Pośrodku tych ogrodzeń, których ani praca, ani cierpliwość nie potrafi uczynić urodzajnemi, tak teren ich jest mało podatny do uprawy, wznoszą się pawilony, tak harmonizujące z nędznem otoczeniem, że nazwaćby je można właściwie więzieniami, lub szopami. Żadne odgłosy z zewnątrz nie dochodzą tu nigdy, a mieszkańcy tych nor mogą w nich żyć samotnie i, nie niepokojeni przez nikogo, tak, jak gdyby się znajdowali na pustyni, lub pośród dziewiczych lasów Afryki.

W jednym z tych pawilonów mieszkał dziwny i oryginalny człowiek. Nikt z oddalonych i nielicznych sąsiadów nie wiedział, kim on był właściwie. Wiedziano tylko tyle, że mieszka tu w towarzystwie drugiego człowieka, który musiał być jego służącym, lub też prędzej rządcą.

Tego ostatniego znano pod imieniem pana Grzegorza, co zaś do jego pana, to nazwisko jego było okryte taką tajemnicą, że wkrótce przezwano go „nieznajomym z Belleville".

Zresztą nikt nie miał ochoty badać zbliska tej tajemnicy. Nieznajomy i jego towarzysz byli spokojnymi ludźmi, nie zajmującymi się tem, co się dzieje poza ogrodzeniem ich willi. Dostawcy, którzy mieli z nimi do czynienia, byli zawsze regularnie wypłacani i nie żądali niczego więcej.

Pan Grzegorz był człowiekiem bardzo metodycznym. Wychodził co rano za sprawunkami i powracał wkrótce przez wąski pasaż Dueé, nie pokazując się już więcej przez dzień cały. Miał lat około czterdziestu, skąpy w słowach i nie mówiący nigdy o swoim panu. Nikt nie wiedział, od ilu lat był w służbie „nieznajomego", ani również, czy ten ostatni stary był, czy młody, wysoki, czy niski.

Od strony pasażu Dueé wszystkie okna pawilonu były zawsze szczelnie zamknięte. Gdyby nie codzienne, krótkie wyjścia pana Grzegorza, sądzić by można, że budynek ten nie był wcale zamieszkany.

Raz tylko, w roku 1904 na początku kwietnia, dwaj sąsiedzi utrzymywali, że widzieli „nieznajomego", ale dawali o nim tak sprzeczne określenia, że nikt na ten fakt zresztą nie zwrócił uwagi. Jeden z nich twierdził, że był młody, drugi zaś, że stary, nikły i całkiem siwy.

Jednakże obydwaj sąsiedzi mieli słuszność. Nieporozumienie ich zaś nastąpiło z tego powodu, że jeden z nich widział „nieznajomego" rano, kiedy wychodził z pawilonu, a drugi w odstępie paru dni wieczorem, kiedy powracał już do siebie.

Ten, którego widziano rano, był młodym człowiekiem, dostrzeżony zaś wieczorem człowiek, był starcem podagrycznym, kulejącym na nogę.

Gdyby wiedziano, że młody i starzec byli jedną i tą samą osobą, ciekawość sąsiadów byłaby obudzoną i mogła być powodem wielu niekorzystnych i złośliwych posądzeń. Na szczęście jednak dla mieszkańców pawilonu, nikomu to na myśl nie przyszło i tajemnica ta nie została odkrytą.

Zresztą sześć miesięcy upłynęło już od tego czasu i fakt ten zatarł się w pamięci sąsiadów. Odtąd widywano pana Grzegorza, jak przedtem, wychodzącego co rano z pawilonu, którego okna nadal były zamknięte, nie przepuszczając szmeru najmniejszego.

Nadszedł 5. listopada. Na dzień przedtem rozbiegła się w Belleville wiadomość, że nieznajomy z pawilonu zamierza odbyć dłuższą podróż, z której nie wiadomo kiedy powrócić może. Wiadomości tej udzielił sam pan Grzegorz swoim dostawcom, dodając, że pan jego nadal zatrzymuje pawilon do swojej dyspozycyi, aż do dnia w którym otrzyma rezultat pomyślny ze sprawy, złączonej z tą podróżą. Wydarzenie to, chociaż nieoczekiwane, nie wywołało zbytniego wrażenia.

W dniu wyjazdu pan Grzegorz powrócił do domu jeszcze wcześniej, niż zazwyczaj, i zajął się przyrządzeniem obiadu dla swojego pana. Obiad ten składał się jedynie z zimnych mięsiw, pochodzących z wędliniarni sąsiedniej i ciast zakupionych u piekarza.

Pan Grzegorz nakrył stół, położył dwa nakrycia i postawił przed niemi dwie butelki starego burgunda, poczem usiadł i oczekiwał na przybycie pana.

W pokoju jadalnym panował nieład, świadczący o przygotowaniach do podróży. Niedaleko stołu stała na krześle waliza, otwarta do połowy, napełniona rzeczami, na komodzie leżała książka i przewodnik kolejowy.

Upłynęło pół godziny: Pan Grzegorz nie poruszył się ze swojego miejsca. Nagle zadrżał, wyprostował się, zdając się nadsłuchiwać. Szmer zaledwie dostrzegalny dobiegł go z korytarza, przytykającego do pokoju. Drzwi się bez szelestu otworzyły i na progu stanął „nieznajomy". Był to człowiek trzydziestokilkoletni o twarzy nerwowej i przygnębionej. Oczy jego były wyraziste, głębokie i badawcze. Cerę twarzy miał ciemną, prawie oliwkową, jak mają zazwyczaj ludzie, przebywający długo w gorących, południowych strefach.

— Jest pan punktualny, jak widzę — rzekł do pana Grzegorza głosem zadowolonym — i muszę panu podziękować za jego gorliwość. Czy powóz zamówiony?

— Tak, proszę pana.

— Na godzinę dziesiątą?

— Na wpół do dziesiątej. Czekać będzie na końcu pasażu Dueé.

— Doskonale — przytaknął nieznajomy. — Widzę, że i waliza gotowa i koce do podróży. Możemy więc siadać do stołu. Proszę, niech pan zajmie miejsce, panie Grzegorzu, a ponieważ mamy jeszcze kilka godzin przed sobą, należy się dobrze posilić i pokrzepić kilku szklankami tego burgunda.

Mówiąc to, usiadł, wskazując ręką drugi stołek towarzyszowi. Nieznajomy jadł z prawdziwym apetytem. Nie przeszkadzało to mu bynajmniej nawiązać rozmowę z panem Grzegorzem, głęboko wzruszonym życzliwością, jaką mu okazywał jego pan, nie bardzo zwykle skłonny do wynurzeń.

— Nie uwierzysz, panie Grzegorzu — mówił zadowolonym głosem — jak szczęśliwym czuję się dziś wieczór. Już od dzisiaj nie będę zmuszony otaczać się tajemnicą, która na dobre nużyć mnie zaczynała. Będę więc mógł oddać zająć w świecie stanowisko, należące mi się prawnie przez urodzenie moje i majątek.

— Przyznaję, że ta wiadomość cieszy mnie bardzo — odparł pan Grzegorz — bo ta egzystencya, którąśmy dotąd wiedli, nie odpowiadała zupełnie mojemu usposobieniu i gdyby była przeciągnęła się jeszcze, byłbym zapadł w jaką ciężką chorobę.

— Dlaczego mi pan o tem wcześniej nie powiedział?

— Nie śmiałem.

— Co za dziecińsłwo! Mam nadzieję, że będzie pan szczerszym wobec mnie, kiedy obierzemy inny tryb życia.

— Oh, jak najchętniej!

— Ileż pan ma lat właściwie, panie Grzegorzu?

— Blisko czterdzieści.

— Czy pan opuścił swoje miejsce urodzenia, kiedy wszedłeś do mojej służby.

— Tak, panie.

— Pan pochodzi z Limoges, zdaje mi się?

— Tak jest, proszę pana.

— Ah, tak! Przypominam sobie teraz! I to imię Grzegorz, którego pan używa jako nazwisko, to było tymczasowo wzięte, nieprawdaż? Wstydził się pan swojego stanowiska rządcy wobec swoich dawnych przyjaciół?

— Pan naprawdę odgadł wszystko. Bo widzi pan, rodzina moja nie zawsze była ubogą. Mój ojciec, który już dziś nie żyje, został zrujnowany przez notaryusza, któremu powierzył swój majątek i który znikł nagle, zabierając wszystko! Mój Boże! Człowiek musiał się więc wziąć do jakiejś pracy!

— Odrzucił więc pan nazwisko Bonnet, zamieniając je na obecne?

— Tak jest.

— To było całkiem rozsądne. Ale mam nadzieję, że to wszystko się skończy wkrótce. Będę mógł dać panu u siebie stanowisko takie, że przedstawiciel rodziny Bonnet będzie mógł bez wstydu pokazać się w Limoges!

— Oh, panie! Jakże się ja panu za to odwdzięczyć zdołam.

— Nie mówmy o tem... i zapalmy cygara przed odjazdem.

Nieznajomy mówiąc to, sięgnął ręką do kieszeni surduta, ale widocznie nie znalazł tego, czego szukał, bo zawołał natychmiast ze zdziwieniem:

— Do dyabła! Przypominam sobie teraz! Zostawiłem papierośnicę na kominku, w sypialnym moim pokoju.

— W takim razie przyniosę ją panu natychmiast — zawołał pan Grzegorz, powstając.

— Ah! Jeżeli pan tak grzeczny!

— Zaraz będę z powrotem.

Pan Grzegorz udał się do drugiego pokoju i słychać było przez otwarte drzwi, jak chodził tam i z powrotem, szukając żądanego przedmiotu.

Tymczasem zaś nieznajomy wydobył z kieszeni flakonik szczególnego kształtu, otworzył go ostrożnie i wpuścił kilka kropel zawartego w nim płynu do odkorkowanej butelki z winem. Po chwili twarz jego, cokolwiek ożywiona i niespokojna, przybrała dawny, nieprzenikniony wyraz.

— Oto cygara! — rzekł, wchodząc pan Grzegorz, podając swojemu panu papierośnicę.

Nieznajomy spiesznie zapalił cygaro i spojrzał na zegarek.

— Wpół do dziesiątej! — rzekł. — Czas przygotować się do odjazdu. No, panie Grzegorzu, niech pan wypije jeszcze tę ostatnią szklankę, a potem zaniesie pan do powozu walizę i koce.

Pan Grzegorz zbliżył się do stołu i duszkiem wychylił szklankę, przygotowaną przez nieznajomego, który patrzył na niego, uśmiechając się. Pan Grzegorz postawił szklankę na stole i zamierzał unieść walizę, kiedy nagle zbladł silnie i rozpaczliwym ruchem pochwycił się za piersi.

— Co panu jest? — zapytał żywo nieznajomy, podchodząc do niego.

— Oh! Tu... tu!... — wołał nieszczęśliwy — odczułem...

— Co? Co takiego?

— Odczułem ból straszny... piekący...

— Eh, to nic, to przejdzie! Wypiliśmy dzisiaj dosyć wina...

— Ah! Mój Boże!...

— Może się pan napije szklankę wody?

— Nie, nie! Oh, zdaje mi się, że ból jest mniej silny...

— Doprawdy! Lękałem się już o pana, sądziłem, że...

Nieznajomy nie dokończył rozpoczętego zdania. Twarz pana Grzegorza pokryła się siną bladością, palce jego konwulsyjnie uczepiły się brzegu stołu, a z czoła spływały mu grube krople potu.

— Ah, ginę! — wyszeptał, z trudem chwytając powietrze. — Wody, wody! Ogień straszny pali mi wnętrzności!...

Ale nieznajomy nie poruszył się wcale na to rozpaczliwe wołanie.

— Umieram! Ratunku!... — wymówił jeszcze pan Grzegorz ledwie dosłyszalnym głosem. — Panie, panie! Ratuj mnie! Wody!...

Nieznajomy, nie zwracając uwagi na niego, wydobył zegarek.

— Ah! Co za nieprzyjemność — wyrzekł z podrażnieniem. — Będę zmuszony sam jechać.

— Przez litość, ratuj mnie!

— Nie krzycz tak, głupcze!

— Co? Co? Ah!... Rozumiem... to wino było zatrute!...

— Bardzo możliwe!

— I to pan, pan!

Głos zamarł w krtani nieszczęśliwego. Skoczył na środek pokoju, okręcił się wokoło siebie i wkońcu runął na podłogę, podrywany spazmatycznem drganiem.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Z tygodnia.

Reorganizacya Rady Stanu.

Komisya Rady Stanu, której zadaniem jest przedyskutowanie projektów reorganizacyi Rady Stanu i stworzenia rządu, rozpoczęła obrady. Komisya składa się z czternastu członków Tymczasowej Rady Stanu i z dziesięciu osób z poza Rady. Z członków Rady Stanu wchodzą do komisyi: marszałek koronny Wacław Niemojowski, Antoni Kaczorowski, wicemarszałek Józef Mikułowski Pomorski, Ludomir Grendyszyński, Stanisław Janicki, Antoni Łuniewski, Wojciech hr. Rostworowski, X. H. Przezdziecki, Artur Śliwiński, Stefan Dziewulski, Michał Łempicki, Włodzimierz Kunowski i Józef Piłsudski; z poza Rady Stanu: Antoni Wieniawski, prof. Józef Buzek, Jan Stecki, Eustachy ks. Sapieha, Adam hr. Tarnowski, Juliusz hr. Tarnowski, Zdzisław ks. Lubomirski, Stanisław Thugutt, Bronisław Ziemięcki i Zygmunt Chmielewski.

Stronnictwa w Królestwie.

Dłuższe układy doprowadziły do wytworzenia bloku stronnictw lewicy. O nowej formacyi podaje *Nowa Gazeta* następująae szczegóły: Zjednoczenie stronnictw demokratycznych, polskie stronnictwo ludowe, partya niezawisłości narodowej, polska partya socyalistyczna, po ustaleniu wspolnej linii z dziedziny obrony haseł demokratyzmu i niezależnej polityki narodowej, zawarły porozumienie dla łącznego w sprawach tych występowania. Dla stałego kontaktu wyłoniona została komisya, złożona z delegatów poszczególnych stronnictw.

Gazeta Nowa zamieszcza dalej następujące uwagi, obejmujące cele bloku: „Platformą Komisyi porozumiewawczej jest w pierwszej linii sprawa Sejmu i związanych z nim praw wyborczych. Nie wyklucza tego rodzaju stawianie sprawy udziału Komisyi w dotychczasowych pracach państwotwórczych“.

Korespondent *Dziennika narodowego* donosi z Warszawy, że blok lewicy utworzony został pod hasłem: Sejm i republika.

Blok stronnictw lewicowych jest dalszym etapem w konsolidacyi politycznej Królestwa, zmierzającej do skupienia się w trzy ugrupowania: Koło międzypartyjne, Centrum narodowe i blok stronnictw lewicy.

Ewakuacya Warszawy.

Wobec grożącego Warszawie widma głodu, rozpoczęto tam, poza szeroko pomyślaną akcyą wywożenia dzieci na wieś, ogólną ewakuacyę miasta, gdyż coraz większy daje się odczuwać brak żywności.

Kuryer warszawski oblicza liczbę osób, które należałoby ewakuować dla ulżenia Warszawie, na 300.000 osób. Do cyfry tej dodaje następującą uwagę: „W pewnych kołach ta znaczna liczba obudziła powątpiewanie, czy wieś może zapewnić byt tej masie uchodźców. Otóż przy prawidłowem rozmieszczaniu uchodźców, ten przybytek z miasta nie będzie zbyt uciążliwy. Według ostrożnych obliczeń (statystyki ścisłej niema) ludność obecna na terenie okupacyi niemieckiej wynosi mniej więcej sześć milionów głów, przybytek zatem 300.000 zwiększy ludność prowincyi w okupacyi miemieckiej zaledwie o pięć procent. W swoim czasie Warszawa w pierwszym okresie wojny musiała przyjąć i żywić setki tysięcy uchodźców z prowincyi i dla żadnego z nich stolica nie poskąpiła opieki, dachu i chleba. Obecnie prowincya dług ten powinna spłacić“.

Z zapisów dotychczasowych wywnioskować można, iż najwięcej uchodźców wysyła urząd ewakuacyjny do gubernii warszawskiej (do 50%), dalej do gubernii płockiej, łomżyńskiej i siedleckiej. Do okupacyi austryacko-węgierskiej wyjeżdża zaledwie około 10% ludności ewakuowanej. Największą liczbę osób wyjeżdżających stanowią dzieci (do 50%); mężczyzn wyjeżdża 18% ogólnej liczby kobiet 32%. Urząd ewakuacyjny wysyła ludność z Warszawy na stałe, na cały czas przesilenia, czyli do końca wojny.

Koło międzypartyjne do Legionów.

Międzypartyjne Koło polityczne, reprezentujące stronnictwa, które osunęły się od udziału w Radzie Stanu, wydało z datą czerwca 1917 r. następującą odezwę do Legionów polskich.

„Żołnierze! Niepodległość, za którą walczyliście bohatersko, stała się obecnie faktem, uznanym przez państwa zaborcze, przez świat cały. I właśnie ta chwila szczęśliwego zwrotu w wiekowej walce o wolność ojczyzny zastaje was w niepewności o wasze jutro, w nieświadomości, co z wami się stanie. W istocie cały szereg słusznych powodów usprawiedliwia waszą troskę. Zwątpiliście nadto we współczucie społeczeństwa, wy, nasi bracia, nasi synowie, coście męstwem swym wznowili świetne tradycye przodków. W tem jednak słuszności nie macie... W chwili obecnej, nie w przeszłość, lecz w przyszłość sięgać należy wzrokiem orła, ręką czynu. Komu drogi jest los niepodległej Polski, a wszyscy go tak, jak wy, ponad życie cenimy, ten wie, czem dla utrwalenia jej państwowego bytu wy jesteście. Zaczątek armii narodowej — wierzymy — że na zagładę nie pójdzie. Walkę, którą wy o samoistność wojska polskiego staczacie, prowadzi całe społeczeństwo w zakresie wszystkich przejawów życia narodowego. Walkę tę musimy zakończyć zwycięsko, ale trzeba mieć wolę i wytrwałość po temu.

Żołnierze! Dziś bardziej, niż kiedykolwiek potrzeba roztropności. Dziś musicie się uzbroić w cierpliwość, aby wsłuchując się w bicie serca narodowego, wystąpić do dalszych czynów tylko wtedy, gdy was wola narodu do nich powoła“.

Z polskich przemówień w parlamencie.

W ciągu dotychczasowych obrad w parlamencie, oprócz prezesa Koła Polskiego Łazarskiego, którego oświadczenie podaliśmy już w jednym z poprzednich numerów, z polskich posłów przemówili: Daszyński, Stapiński, Witos i były minister Głąbiński. Mowę tego ostatniego c. k. Biuro korespondencyjne streszcza w następującym komunikacie:

„Poseł Głąbiński zaznacza, że rządy w Galicyi w czasie wojny miały stanowczy wpływ na umysły ludności i na politykę Koła Polskiego. Koło Polskie domaga się ostrego ukarania wszystkich winnych, bez względu na ich stanowisko. (Oklaski na ławach polskich). Jest rzeczą łatwą podnosić zarzuty zdrady stanu; największymi jednak i najniebezpieczniejszymi zdrajcami stanu są ci, którzy naruszają konstytucyę i ustawy, którzy korrupcyą, demoralizacyą administracyi, obrazą najświętszych uczuć narodu, wywołują rozgoryczenie ludności wobec prawa i dynastyi. (Oklaski na ławach polskich). Piętnem zdrajców nacechowano także urzędników, zwłaszcza urzędników kolejowych, Polaków i Rusinów. Wszyscy kolejarze zostali uwolnieni: mimo tego jeden z wyższych urzędników kolejowych Austryi powtórzył to podejrzenie w Izbie. Oczekiwać należy, że minister kolei udzieli Izbie wyjaśnień o zachowaniu się urzędników kolejowych w Galicyi. (Oklaski na ławach polskich). Wobec stwierdzenia, że naczelnicy stacyi w Galicyi nie rozumieją słowa po niemiecku, należy stwierdzić, że zarzut ten polega na zupełnej nieznajomości urzędników i stosunków w Galicyi. W ciągu wojny wysłano do Galicyi niemieckich urzędników i podurzędników, którzy nie władają ani językiem polskim ani ruskim. Ci dopiero stworzyli wielkie niebezpieczeństwo dla bezpieczeństwa ruchu i życia ludzi.

Z powodu oświadczeń prezydenta ministrów podnosi mowca, że gdyby słowa prezydenta ministrów o marzycielstwie i narodowej egzaltacyi miały być zwrócone pod adresem Polaków, musiałby słowa te przyjąć z jak największem zdziwieniem. Polacy przypominają sobie podobne odezwanie się jednego z carów rosyjskich, który przed laty ośmdziesięciu, przyjmując Polaków w Warszawie, rzekł: „Tylko bez marzeń, panowie!“ Polacy, mimo marzeń, przetrwali. Pozostali im wiernymi i o swoje sny przyszłości krwawo walczyli. Carstwa już niema, ale Polacy jeszcze są! (Oklaski na ławach polskich). Gdyby prezydent ministrów wystosował te słowa pod adresem Polaków, to Polacy zaapelują do wyższego miejsca, do monarchy, zaapelują do tej dynastyi, która z dynastyami polskiemi połączona była tylu węzłami pokrewieństwa i w całej Polsce tak bardzo jest szanowaną. (Oklaski na ławach polskich).

Omawiając rezolucyę z dnia 28. maja, podnosi mowca, że Polacy nigdy nie dali powodu do mniemania, jakoby wyrzekli się swego politycznego *credo*. Gdyby znalazł się jakikolwiek Polak, któryby chciał to twierdzić, to mówi nieprawdę. (Oklaski na ławach polskich). Uznanie niezbędności potężnego państwa polskiego, toruje sobie wszędzie drogę. Tylko silne, zdolne rzeczywiście do życia, pod względem politycznym i gospodarczym samodzielne państwo polskie, byłoby w możności wypełnić swoją historyczną misyę, jako żywotny organiczny czynnik między Wschodem a Zachodem. Tylko rzeczywiście samodzielne państwo polskie może być trwałą podstawą dla pokoju europejskiego. Jakże jest możliwem, by w przyszłości, gdyby Europę spotkało nieszczęście drugiej takiej wojny, jak obecna, Polacy byli znów podzieleni między rozmaite obozy nieprzyjacielskie? Jak sobie świat wyobraża przyszłe kombinacye międzynarodowe? Czy mają być one zawisłe od woli rządzących, a nie tych, którymi się rządzi? Po wojnie światowej musi powstać nowy świat i nowe życie. Ważnym czynnikiem tego nowego porządku ma być wielkie zjednoczone królestwo polskie. (Oklaski na ławach polskich).

Jeżeli p. Dobernig mówił o konieczności trwałego wpływu na zdobyte obszary, to chyba nie ma na myśli obszaru polskiego. Gdyby jednak tak było, to musiałby mowca stwierdzić, że dzisiejsze Królestwo Polskie stanowi nierozdzielny obszar i takim musi pozostać. Polacy widzą wielką krzywdę w tem, że terytoryum to podzielono na dwa obszary administracyjne i że ten podział tak długo trwa. Kto pragnie trwałego pokoju dla monarchii i Europy, kto tęskni za błogosławieństwami pokojowej pracy, ten musi się oświadczyć za wolnem zjednoczonem państwem polskiem. Będzie znakiem postępu całej ludzkości, jeżeli, oby jak najrychlej, przy końcu tej wojny, trwały pokój nie będzie miał żadnych przeciwników. Wtenczas także utworzenie zjednoczonego wolnego państwa polskiego tych przeciwników nie znajdzie. Co daj Boże! (Oklaski na ławach polskich.)

Ameryka w wojnie światowej.

(Do illustracyi na str. 8 i 10).

Gdy w Europie coraz częściej mówi się teraz o pokoju, który ma położyć wreszcie kres tej największej w dziejach wojnie, Stany Zjednoczone Ameryki Północnej z coraz większym zapałem szykują się do wojny. Poza olbrzymiemi zbrojeniami na lądzie i morzu, odbywa się w Ameryce energiczna agitacya, mająca na celu stworzenie jaknajliczniejszej armii lądowej, któraby stanęła do walki w Europie. We wszystkich miastach amerykańskich odbywa się werbunek ochotników z całym aparatem amerykańskiej reklamy. Jedna z naszych fotografii przedstawia właśnie epizod z werbunku ochotników na ulicach Nowego Jorku.

Ale do wojny gotują się w Ameryce nietylko mężczyźni, lecz także i kobiety. Powstała tam mianowicie Kobieca Liga Samoobrony, która nietylko agituje za wojną, ale stanowi jakby armię nowoczesnych amazonek. Członkinie Ligi ćwiczą się w rzemiośle wojennem, odbywając długie, forsowne marsze. Oddział tych wojowniczych Amerykanek widzimy na naszej illustracyi.

Kronika tygodniowa.

Cały świat tak się teraz rozpolitykował, że kronikarz *Nowości illustrowanych* powinien zrobić wyjątek, a nie mogąc, choć czas odpowiedni, pisać o wężach morskich i im podobnych kanikularnych kuryozach, zajmie się bodaj wakacyjnymi kłopotami, choć nie jest wykluczonem, że tu i ówdzie poruszy i polityczną strunę, gdyż dziś wszystko z polityką jest jak najsilniej związane. O wężach morskich ani słychu, jeśli nawet kiedykolwiek istniały, dały drapaka ze strachu przed łodziami podwodnemi, gdzie pieprz rośnie, bo przyzna chyba każdy, że to mniejsza przyjemność zostać ugodzonym w żywot torpedą lub natknąć na minę, zostać rozerwanym na kawałki i obudzić się na dnie morza nieboszczykiem. Tego nawet węże morskie nie lubią.

Rozmaite są przecież gusta i guściki. Węże morskie nie lubią tamtego, ja nie lubię znów wakacyi, gdyż rok rocznie w tym okresie zaczyna mi moja rodzina suszyć głowę, iż należałoby wyjechać na świeże powietrze, by nabrać nowych sił i odrestaurować się po wojennych kłopotach. Projekt to bardzo piękny, ale też i bardzo trudny do wykonania, zwłaszcza dla kronikarza, który nie może o sobie powiedzieć, iż „słodko jest być dostawcą dla ojczyzny“. Chcąc gdzieś wyjechać, trzeba mieć przedewszystkiem pieniądze, a o nie dziś bardzo trudno, kredyt zaś, nawet na „czarnej giełdzie“, z powodu dalszego trwania moratoryum, spi wciąż „snem nieprzespanym“, jeśli wolno się tak poetycznie wyrazić. Nawet blankietów wekslowych nie można dostać w trafikach, na słowo zaś nikt nie chce pożyczyć.

— Słowo pana dobrodzieja jest dla mnie bardzo cennem i dałbym na nie, nie wiem co, nawet więcej, niż mam w swym majątku, ale zawsze weksel pewniejszy! — mawiał do mnie ongiś jeden z bankierów, z którym przed wojną, gdy konjuktury finansowe były pomyślniejsze, pozostawałem w stałym kontakcie.

Kwestye finansowe więc, połączone z wyprawieniem rodziny na willegiaturę przedstawiają się bardzo czarno, zupełnie jednak tak samo, jak wybór miejsca, dokąd się udać, by być oddalonym od miejskiego gwaru, a przecież módz bodaj jako tako komunikować się z resztą cywilizowanego świata, co zaś najważniejsze by tam z głodu nie umrzeć, gdyż na pierwszym planie powinno się mieć zawsze aprowizacyę, już choćby z tego powodu, iż zaczyna się ona na „a“, choć służy „żołądkowi“, zajmującemu ostatni rozdział w słownikach i encyklopedyach.

A władze nasze właśnie ową aprowizacyą zabiły letnikom nielada klina w głowę, gdyż oświadczają, iż o tyle tylko wydawać będą pozwolenia na osiedlenie się w letniskach i uzdrowiskach, o ile odnośny osobnik wykaże się świadectwem lekarskiem, że tego koniecznie potrzebuje, i, co ważniejsze, zapasami, które mu nie pozwolą zginąć z głodu. Zapasy więc trzeba przywieźć ze sobą, ale pytanie, jak to zrobić, skoro wywóz ich z Krakowa jest urzędowo zakazany. Oto problem, nad którym warto się zastanowić, wezwawszy przedtem na pomoc świętego Biurokracego, jeżdżącego, jak wiadomo, na siwym koniu *(Amtsschimmel)*.

Co do pierwszej kwestyi, to jest świadectwa lekarskiego, nie nastręczyłoby mi to żadnych trudności, choć, dzięki Bogu, Weronisia moja poczciwa jest zdrową — niech mi Czytelniczki wybaczą może zbyt trywialne wyrażenie — jak koń i to przedwojenny. Być może, iż jej nie wystawiłby świadectwa żądanego ani lekarz, ani nawet weterynarz, (który, choć pacyenta nigdy o to nie pyta, przecież wie, co go boli), każdy natomiast eskulap z zupełnie czystem sumieniem może i powinien orzec, iż wyjazd jej z pociechami ze względu na moje zdrowie jest pożądany, a nawet konieczny.

Świadectwo więc, dajmy na to, już jest, brakuje natomiast funduszów na wyjazd, nie wie się, dokąd się ma udać i, co najważniejsze, co ze sobą zabrać, by władza nie zwróciła podróżników z drogi.

Przypuśćmy zresztą, że kwestyę finansową udało się jakoś tam ubić, zaciągając pożyczkę na weksel lub na słowo, lub też na rachunek spodziewanej nagrody z fundacyi dynamitowo-pokojowej Nobla, sęk, i to wielki i bardzo twardy, dokąd zwrócić swe kroki, skoro wszędzie, jeśli nie jest gorzej, to z pewnością i nie lepiej, niż w Krakowie, gdzie, przynajmniej od czasu do czasu można zjeść coś porządnego. Prawda, że powietrze w mieście nie jest tak czyste, jak, dajmy na to, na wsi, gdzieś w górskiej okolicy, ale też trzeba pamiętać o tem, że samem powietrzem nikt żyć nie może, a niema miejscowości w Galicyi, którąby nie mogła się tem poszczycić, iż miała miłego gościa, nazywającego się urzędowo rekwizycyą.

Ale niech nam się zdaje, że udało się usunąć i ten sęk, proszę mi powiedzieć, w jaki sposób zastosować się do rozporządzenia jednej władzy i przywieźć ze sobą to, czego druga znów władza wywieźć z Krakowa nie pozwoli?... Na to pytanie odpowiedzieć już nie potrafię, wobec czego widzę, że muszę w bieżącym roku zrezygnować z owych kilku tygodni słomianego wdowieństwa, które były zawsze dla mnie czasem wypoczynku. A tak się tem cieszyłem, ale, broń Boże, nie z jakichś powodów, o których głośno nie możnaby mówić i to nawet w obecności domowego „Cerbera“...

Nie pozostaje więc nic innego, jak urządzanie spacerów do Parku Jordana, na Błonia, nad Rudawę, do Parku Krakowskiego, ostatecznie na plantacye, gdzie drzew dotąd jeszcze nie wycięto tylko z tego powodu, by gawrony miały na czem siadać, kogo zaś stać na to, może sobie urządzić tramwajem wycieczkę „na południe“, to jest na Podgórze, połączone wprawdzie z nami w jedną nierozerwalną całość, uważające się przecież zawsze za położone w innym kraju koronnym, bo w Galicyi.

Gdyby o mnie samego chodziło, to nie wątpię bynajmniej, iż znalazłaby się szlachetna dusza (dusza, według gramatyki, musi być rodzaju żeńskiego!...), która zaprosiłaby kronikarza na wakacyjne wywczasy, gdzieś daleko od zgiełku i gwaru wielkomiejskiego, kędy, na łonie przyrody, mógłby się rozkoszować przyjemnościami wiejskiego życia, kwaśnem mlekiem, kurczątkami (z sałatką), muchami i t. d... Niestety, oferty podobnej treści dotąd ani jednej nie otrzymałem, zresztą wątpię, czy otrzymałbym od władzy domowej pozwolenie na wyjazd, choćbym śluby wierności złożył jeszcze raz, nawet na piśmie, a z całym żywym inwentarzem, choćby o to i proszono (prosi się z grzeczności, ale się jest zadowolonym, jeżeli trafi się przypadkiem jakaś nieprzewidziana przeszkoda!...) nie ośmieliłbym się nawet zjeżdżać na kark, bo wiem z własnego doświadczenia, jakie to przyjemne.

Zostaję więc i ja w murach starego Krakowa przez czas wakacyi, wobec czego P. T. Czytelnicy nie będą narażeni na przerwę w pojawianiu się kronik, co wobec znanej sprawności naszych poczt, łatwo mogłoby się zdarzyć, gdyby kronikarz znalazł się gdzieś daleko od „serca Polski“, gdzie, jak to powiadają, świat deskami zabity, a listy i gazety przychodzą „regularnie“ raz w tydzień, o ile naturalnie niema znowu jakiejś nadzwyczajnej przeszkody.

Zresztą może to nawet i lepiej, że kronikarz nie opuści murów miasta i trzymać będzie ciągle rękę na politycznym pulsie, czekając następności, która, jak mówi pewien filozof, nigdy gorszą być nie może. A Pismo święte powiada: „Błogosławieni cierpliwi, albowiem będą mogli pojechać tramwajem“.

Kronikarz zaś, jak tego zresztą dawał i daje zawsze dowody, jest cierpliwym i czeka, ale nie na tramwaj, gdyż jako człowiek, ceniący wartość czasu, chadza z zasady piechotą, ale na koniec wojny i na rozwiązanie... różnych zawiłych kwestyi politycznych, które coraz częściej wystawiają głowy na światło dzienne, niczem grzyby po deszczu.

Co do końca wojny to już pogodziłem się z myślą, iż musi się nań czekać do wiosny roku przyszłego, a to, aby się spełniły słowa świętego Jana, wypowiedziane w Apokalipsie.

Kilka miejsc pozwolę sobie przytoczyć.–

Rozdział XI. wiersz 2.: „A sień, która jest przed kościołem, wyrzucić precz, a nie masz jej, albowiem dana jest poganinowi, a miasto święte deptać będą czterdzieści i dwa miesiące“.

Rozdział XIII. wiersz 1.: „I widziałem bestyę, wychodzącą z morza, mającą siedm głów i rogów dziesięć, a na rogach jej dziesięć koron, a na głowach jej imiona bluźnierstwa“.

Rozdział XIII. wiersz 5.: „I dane jej są usta, mówiące wielkie rzeczy i bluźnierstwa i dano jej moc czynić czterdzieści i dwa miesiące“.

Jak z tych wyjątków jasno widać, panowanie na ziemi owej bestyi, która z morza wylazła, zupełnie jak Anglia, ma trwać czterdzieści i dwa miesiące, więc trzy i pół roku, że zaś przepowiednię ową można odnieść do dzisiejszych stosunków, wnoszę z tego, iż w tymże samym rozdziale trzynastym w wierszu 16. i 17. czytamy:

„I uczyni, że wszyscy, mali i wielcy, bogaci i ubodzy i wolni i niewolnicy mieli cechę na prawej ręce swojej, albo na czełech swoich.

A iżby żaden nie mógł kupić ani przedać, jedno które ma cechę, albo imię bestyi, albo liczbę imienia jej“.

Słowa powyższe przypominają bardzo obecnie panujące stosunki, owe pozwolenia na pobyt w twierdzy, blaszane odznaki z numerami, karty na pobór różnych artykułów i t. d., nic więc dziwnego, że ten i ów zaczyna wierzyć, iż święty Jan tę a nie inną wojnę miał na myśli, że więc końca jej nie możemy się spodziewać wcześniej, aż upłyną owe czterdzieści dwa miesiące... Daj Boże, by bodaj owa przepowiednia się spełniła, skoro tyle innych już zawiodło. Przetrwaliśmy trzy lata, może zniesiemy jeszcze i owe sześć miesięcy, jakie mamy jeszcze przed sobą.

Chyba... Chyba, że świat się tymczasem skończy, gdyż według przepowiedni (ale nie wiem doktora, czy hrabiego, bo raz tak pisze *Kuryerek*, a raz znowu tak Krasińskiego, od dnia dwudziestego czerwca wchodzimy w okres katastrofalnych trzęsień ziemi, który ma potrwać do dwudziestego lipca, łatwo więc stać się może, iż powłoka ziemska roztrzęsioną zostanie i śladu z niej nie będzie.

Dla tem większego „uspokojenia“ ludności czytamy, iż trzęsienia owe mają być o charakterze katastrofalnym. Że w tymże okresie wydarzą się i drobniejsze trzęsienia, rokuje się być nader prawdopodobnem. Zaznaczyć już teraz należy, że telegramy z dnia 21. b. m. notują silne wstrząśnienie ziemi w Sztuttgarcie, połączone z gwałtowną burzą (my mieliśmy szaloną wichurę w dniu 22. czerwca), równocześnie zaś trzęsienie ziemi nad jeziorem Bodeńskiem, idące ze wschodu ku zachodowi, oraz mniejwięcej równoległą falę trzęsienia w Konstancy (powtarzam na odpowiedzialność *Kuryerka*...), połączonego z silnym podziemnym hukiem.

Miła więc perspektywa! Nie dość, że nie mamy już co włożyć do ust, pewnego pięknego poranku gotowiśmy się znaleźć na bruku, gdy zawalą się domostwa, dające nam dotąd jaki taki bodaj przytułek. Wyobrażam sobie, z jaką lubością pękać i rozpadać się będą zwłaszcza budynki, stawiane w ostatnich czasach, wedle najnowszych wymogów architektury, streszczających się w dwu słowach: tanio i szybko!

Na dobitek wszystkiego złego, tego nam było jeszcze potrzeba. Wyobrażam sobie, jak na niejednym z Czytelników skóra już teraz cierpnie i taką pozostanie aż do dwudziestego lipca. Na wszelki wypadek należy się przecież ubezpieczyć od wypadku, by bodaj spadkobiercy mieli sobie czem łzy otrzeć.

Jak zaś trzęsienia ziemi mogą wpływać ujemnie na mózgi ludzkie, tego dowodem artykuł jakiegoś wiedeńskiego „szmoka“ w piśmie *Rundschau*, zatytułowany „Padam do nóg“, a stojący w związku z obecnem przesileniem gabinetowem.

Czytamy tam:

„Rząd i Koło polskie rokują dalej! Możnaby to nazwać raczej przetargiem. Ci szlachetni panowie żądają pieniędzy — naturalnie dla Galicyi i wysokich stanowisk — naturalnie dla siebie. Potem będą znowu kochani i grzeczni i będą popierali politykę rządu. Kochajmy się!... Dyskrecya rzeczą honoru, wyznanie, rzecz obojętna, pieniądze — rzecz główna, a bezwstyd — jasny, jak słońce!

W porównaniu z panami Polakami chwalić sobie można najdzikszych czeskich awanturników. Ci są w swej świńskiej ordynarności przynajmniej szczerzy i nie drwią z nas w żywe oczy. Ale szlachetni szlachcice ociekają miłością, przyjaźnią i rozanieleniem — nie szczędzą „Panie dobrodzieju“ ti i „Panie dobrodzieju“ tam — a przytem gelą nas lepiej, jak brzytwą. Padam do nóg“.

Dla dawnego Koła Polskiego nagroda zą wysługiwanie się Niemcom może niezbyt miła, ale w każdym razie zasłużona! Czyż Niemcy mogli przewidzieć, że Polacy „ośmielą się“ stanąć im okoniem?... A owemu „szmokowi“, autorowi artykułu, należałoby się honorarym, ale w tym guście, jak miał otrzymać poseł Heine za swój występ w parlamencie, lecz temu przeszkodzono.

Similis simili gaudet, co Rusin bardzo trafnie tłumaczy: „Swynia swyni rada!“...

Pan Heine i ów autor znaleźli się, jak w korcu maku i powinni sobie dać buzi!

Im bardziej zbliża się chwila przyobiecanego wyodrębnienia Galicyi, tem częściej spotykamy się z dowodami „życzliwości“ ze strony Niemców, z czego wnosić należy, że bardzo trudno będzie im przenieść rozłąkę z nami i pożegnać tych, którzy, kontentując się tylko obietnicami, wysługiwali się im na każdym kroku, karmili, sami sobie od ust odejmując, kupując za wysoką cenę wszelaką taudetę wiedeńską, a w zamian za to wszystko otrzymywali figę i to nie zawsze bardzo słodką!

Widać, że Galicya to nie taki bardzo *passives Land*, jak twierdzili, skoro żal się jej pozbywać, żółć owa bowiem, którą na każdym kroku wylewają, jest tego najlepszym dowodem. Zwłaszcza wiedeńskich „szmoków“ trapi żal na myśl rozłąki z ojczyzną, gdyż w wielkiej części pochodzą z Galicyi, z nad Starej Wisły, i Pełtwi, a nad Dunajem zdobyli tylko dziennikarskie ostrogi i dlatego teraz udają tak radykalnych Niemców!...

Zagadki do nagrody.

Zadanie do przestawienia.
Ułożył K. Przepolski, Kraków.

Z podanych liter ułożyć znane polskie przysłowie

Jem na źrebie. a ty len.

Kwadrat magiczny.
Ułożył Z. Szymanek, Kraków.

Z podanych liter ułożyć cztery wyrazy, równobrzmiące w kierunkn pionowym i poziomym.

a a a d
i i k k
ł n r r
s s y y

Znaczenie wyrazów: 1. Pzyrząd sportowy. 2. Postać z mitologii skandynawskiej 3. Wyraz, znany z fizyki. 4. Część wodociągu.

Zadanie do przestawienia.
Ułożył K. Przepolski, Kraków.

Z podanych liter ułożyć znane polskie przysłowie.

Dzi;ie naoczne tury.

Grzebieniówka.
Ułożył St. Winter, Tarnów.

Kwadraty i kreski zastąpić literami, aby w rzędach pionowych powstały wyrazy o podanem znaczeniu. Pierwszy rząd poziomy utworzy nazwisko i imię znakomitego niemieckiego badacza epopei greckich.

□ □ □ □ □ □ □ □ □ □ □ □ □
— — — — — — —
— — — — — — —
— — — — — — —
— — — — — — —
— — — — — — —

Znaczenie wyrazów: 1. Miasto we Włoszech. 2. Zwierzę drapieżne. 3. Kraj w Azyi starożytnej. 4. Imię żeńskie. 5. Król perski. 6. Motyl. 7. Śpiewające ptaki.

Szarada.
Ułożył J. Markiewicz, Nagawczyna.

Pierwsze i drugie mówimy,
Kiedy się rzecz nam podoba,
Trzecie jest dłuższe wśród zimy,
Chociaż nie zmienia się doba.
Wszystko chciej przyjąć odemnie,
A potem zaśnij przyjemnie!

Łamigłówka.
Ułożył J. Markiewicz, Nagawczyna.

Uzupełnić podane wyrazy. Litery, wstawione w miejsce kresek. czytane z góry na dół, podadzą rozwiązanie.

—ora
s—wa
mo—a
mop—
ma—a
r—ma
—ora
w—ry
kr—t
sta—
pl—k
o—et
—ara
w—la
ko—a
tam—
lo—y
K—la
—ilk
t—ka

Zadanie do przestawienia.
Ułożył K. Przepolski, Kraków.

Z podanych liter ułożyć znane polskie przysłowie

Psza R. Lej, sad, grona, pot.

Kwadrat magiczny.
Ułożyła H. Dorożyńska, Sieniawa.

Kwadraty i kreski zastąpić literami, aby powstały wyrazy o podanem znaczeniu. Pierwszy i ostatni rząd od góru i dołu, z przodu i z tyłu, ntworzą to samo nazwisko.

□ □ □ □ □ □ □ □
□ — — — — — — □
□ — — — — — — □
□ — — — — — — □
□ — — — — — — □
□ — — — — — — □
□ — — — — — — □
□ □ □ □ □ □ □ □

Znaczenie wyrazów: 1. Nazwisko greckiego filozofa 2. Miasto we Włoszech. 3. Imię męskie zdrobniałe. 4. Inaczej rozmowa. 5. Imię żeńskie. 6. Minerał. 7. Nazwa morza w Europie. 8. Nazwisko greckiego filozofa.

Zadanie do przestawienia.
Ułożył Z. Szymanek, Kraków.

Z podanych liter ułożyć znane polskie przysłowie

W Chyrowie dał Eli po ich wiśni.

Bilety wizytowe.
Ułożył J. Markiewicz, Nagawczyna.

Z liter na biletach ułożyć godność, względnie zawód poszczególnych osób:

ST. KOHIRY.

KA WE. CHLORZ.

ZYGM. RIANEA.

ŁUK P. WINKODOP.

K. Ł. MONCEPINO.

Za dobre rozwiązanie wszystkich powyższych zagadek przeznacza Redakcya do rozlosowania: **Album Legionów polskich.**

Rozwiązanie zagadek z Nr. 24.

Kwadrat magiczny:
G r o t
R o p a
O p a l
T a l k

Równanie:
Karyolka + digitalis + entomolog = Katalog.

Logogryf:

G
ż u k
s u s e ł
B a r t o s z
w ą s a t k a
j a w o r
o d a
a
n
k i t
K a ł k a
f a w o r y t
a s a w u ł a
s e s y a
O k a
i

Zadanie do przestawienia: Kto ma owce, ten ma, co chce

Łamigłówka:
B o b a k
d r o z d
w a ż k a
e f e k t
J a c e k
a n i o ł
a m a n t
m a ł ż e
o s o b a

Zadanie na rozsypane litery: Głową muru nie przebijesz

Trojkąt magiczny:
J o a n n a d' A r c
O c h m i s t r z
A l m a n a c h
N u r z y k i
N e a p o l
A g a t a
D ł o n
A k r
R o
C

Szarada: Lwow — Lwów.

Zadanie do przestawienia: Nikt się świętym nie narodził.

Bilety wizytowe: Puścić kantem! Jutro rano! W tem sęk! Kto pierwszy, ten płatny! Swiat się kończy!

Dobre rozwiązania nadesłali Pp: J. Jakubowska Kraków, A. Kosiński Zakopane, M. Wyka Kraków, D. Ligęza Kraków, D. Łodyńska Kraków, J. Roland Kraków, M. Planecka Kraków, H. Korytowski Cieszyn, A. Siatka Kraków, J. Kwaśniewski Krzeszów, W. Gebhardt Kraków, J. Sadowski Kraków, H. Trojacki Wiedeń, C. Wang Wadowice, K. Sawliński Jasło, I. Brzostowski Krosno, S. Karwowski Berlin, D. Łopatyński Kraków, M. Klapholz Kraków, D. Engelberg Wiedeń, J. Lisowski Oświęcim, S. Osadowska Rzeczyca, K. Radoszewski Sucha, S. Krzyżanowski Kraków, J. Rosenbaum Skawina, J. Krawecki Wadowice, W. Potocka Kraków, D. Karczmarski Poddębie, J. Zachara Biała, J. Łopatkiewicz Praga, L. Lang Kraków, B. Zbigniewicz Kraków, S. Sokołowski Kraków, L. Kozubski Wiedeń, K. Karpowicz Wiedeń, J. Sperling Wiedeń, S. Cegielski Poznań, F. Zając Bochnia, K. Kinalski Biała S. Bernatowicz Zakopane, M. Klimek Cieszyn, S. Lipski Wiedeń, S. Skowroński Wiedeń, J. Jahoda Cieszyn, T. Biliński Oświęcim, A. Dużak Kraków, S. Jasiński, Budapeszt, J. Broda Mor. Ostrawa, S. Grodzicki Praga, S. Kamocki Przemyśl, J. Topolnicki Lwów, M. Wiśniewska Lwów, S. Bednarski Przemyśl, S. Jaśkiewicz Wiedeń, E. Winter Tarnów A. Sterzel Wysocko, E. Bogdalska Koyopuż, J. Scheitel i F. Buch Stryj, J. Sosenko Podgórze.

Nagrodę przez losowanie otrzymała p. **W. Potocka Kraków.** — Upraszamy o nadesłanie 50 hal. na koszta poleconej przesyłki.

Głosy publiczne.

Dyrekcya Krajowej Szkoły kupieckiej w Przemyślu ogłasza, że z dniem 30 czerwca opuszczają zakład absolwenci dwuklasowej szkoły kupieckiej i absolwentki jednorocznego kursu handlowego żeńskiego; absolwenci ci posiadają całokształt wiadomości handlowych i nadają się do wykonywania przemysłu handlowego, na urzędników w bankach, w przedsiębiorstwach handlowych, przemysłowych, w kopalniach i w administracyach rolnych.

W celu rozmieszczenia absolwentów i polecenia odpowiedniej siły, podejmuje się Dyrekcya pośrednictwa. uprasza o zgłaszanie wolnych posad i udziela wszelkich wyjaśnień ustnie i pisemnie.

Dyrekcya Krajowej Szkoły kupieckiej w Przemyślu ogłasza: Wpisy do szkoly kupieckiej dwuklasowej męskiej i żeńskiej i na jednoroczny kurs handlowy żeński odbędą się dnia 1, 2, 3 lipca, 31 sierpnia i 1 września. Warunkiem przyjęcia do klasy I. obu szkół i na kurs jest ukończenie 14 lat życia i III klasy wydziałowej, licealnej lub średniej, albo złożenie egzaminu wstępnego w tym zakresie nauki; do klasy przygotowawczej przyjęci być mogą uczniowie, którzy ukonczyli 13 lat życia i, co najmniej 4 klasę ludową oraz złożą egzamin wstępny z języka polskiego i rachunków.

Wszelkich wyjaśnień udziela Dyrekcya ustnie lub pisemnie także przez miesiące wakacyjne.

Właściciele i wydawcy: Spadkobiercy St. Lipińskiego. Odpow. redaktor: M. Lipińska. Klisze własnego zakładu. Drukarnia D. E. Friedleina w Krakowie, pod zarządem Pawła Madejskiego.